









155 ~~379/0~~

# W ZARANIU

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Z. Miłkowskiego).

TOM I.

WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego. Warecka 14.

1898.

ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW  
KSIĄŻKI, PRACY I PAPIERU  
KASOWA  
KSIĄŻKI  
ul. M. Buczka 33, tel. 32-40

Nr. 43

~~EDOM KSIĄŻKI  
Przedsiębiorstwo Pełniące  
w Kielecu~~

~~Nr. 48~~



230783

Дозволено Цензурою

Варшава, 4 Сентлября 1888 г.



2854

Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski) urodził się około r. 1820 w gub. Podolskiej. Opuściwszy kraj, brał udział w wojnie węgierskiej 1848 r., a następnie przebywał w Turcyi i Wołoszczyźnie. Przebywał następnie jakiś czas w Belgii, obecnie zaś mieszka w Szwajcaryi.

Zawód swój literacki rozpoczął korespondencyami i powiastkami, drukowanemi w lwowskich i warszawskich pismach. Powieści postawiły go odrazu w rzędzie najznakomitszych autorów współczesnych.

Wybitniejsze jego dzieła są następujące: „Wasyl Hołub“ — „Handzia Zahornicka“ — „Szandor Kowacz“ — „Historja o prapradziadku i o praprawnuku“ — „Krwawe dzieje“ — „Uskoki“ — „Naręczona Harambaszy“ — „Dahijszczyzna“ — „Derśław z Rytwian“ — „Pamiętniki starającego się“ —

„Uroczą“ — „Helena“ — „Emancypowana“ — „Ofiary“ — „Pierwsze boże przykazanie“ — „Jubileusz serbski“ — „Asan“ — „Żarnica“ — „Szewckie dziecko“ — „Rotułowicze“ — „Za króla Olbrachta“ — „Słowiński Hercog“ — „Kłopoty jejmości“ — „Wyśniona“ — „Pod obuchem“.

---



## I.

Czasu onego Bułgaria podobała się była niesłychanie Świętosławowi Igorowiczowi. Niedziw. Kraina to w Europie jedna z najpiękniejszych. Rozłożyła się na dwóch Bałkanów pochyłościach, staczających się jedna ku morzu Egejskiemu, druga ku Dunajowi. Stoki, idąc ustępami nieregularnymi, przechodzą tu we wzgórza, owdzie w rozłogi, towarzyszące dolinom, w głębi których płyną rzeczki mniejsze i większe, u źródeł górskie, szumiące i pieniące się po kamieniach, dalej toczące wody swoje spokojnie. Jedna z wpadających do Dunaju rzeczka nosi nazwę Jantry. Źródłiska jej tryskają u stóp przejścia, wstawionego w czasie wojny ostatniej i zwanego Szipka. Nad nią leżą dwie wielkiego dla Bułgarów znaczenia miejscowości: Tyrnowa, niegdyś królestwa bułgarskiego stolica i powyżej Tyrnowy, w górach—Gabrowa, stolica i ognisko ruchu umysłowego, który

był pierwszym budzenia się narodu z letargu kilkowiekowego symptomem. Rzeczka ta, zabierająca z sobą ze strony prawej i lewej rzeczek pomniejszych dużo, wpada do Dunaju poniżej miasta Szistowa, w oddaleniu, stanowiącym jedną trzecią drogi z Szistowy do Ruszczuku.

Jantra w okolicy, którą przepływa, odgrywa niemałą rolę. Doliną jej przechodzi droga, prowadząca przez Bałkany do Kazanliku, do Eski-Saghra i dalej do Adryanopola. U ujścia przeskakuje przez nią trakt pocztowy, łączący ze sobą leżące nad Dunajem miasta: Ruszczuk, Szistowę, Nikopolis, Rahowę, dwie Palanki i Widdin. Turcy na trakcie most murowany przez rzekę rzucili, przy moście tym Cincar mehanę postawili, a za mehaną stanęło chałup kilka i sformowała się osada, której się dostała nazwa: Kriwena. Nazwy tej nie dawał jej nikt. Wzięła się sama przez się, czy to ztąd, że się w miejscu tem droga wygina, czy ztąd, że Jantra poniżej mostu zakrzywia się w prawo, jakby się wahała, czy ma do Dunaju wpaść, czyli też równolegle do niego ku morzu podążać. Kwestya ta nierozstrzygnięta jest i nierozstrzygniętą pozostanie, chyba, że Kriwena zmieni się kiedy w gród wielki, zamożny i sławny, do pierwociu którego za lat jakich tysiąc obudzi się ciekawość historyczna. Czemuby to nastąpić nie miało? Czyż Odesa naprzykład nie była lat temu sto osadą rybacką? Jest to jednak kwestya przyszłości, tymczasem zaś Kriwena nie była ani sławną, ani zamożną, ani grodem i wartość jej całkowita zawierała się w mehanie będącej dla prawowiernych kawiarnią, dla

nieprawowiernych szynkiem. Podwójny ten charakter pochodził ztąd, że właścicielem onej był Cincar, niby Rumun, ale nie Rumun,—niby Bulgar, ale nie Bulgar,—niby wierny, ale niekoniecznie wierny padyszacha poddany: mówił on po rumuńsku, po bulgarsku i po turecku, mówił jeszcze językami paru, swego *zanat-at* pilnował i zarazem przykładał ręki do zajęć różnych, o których ani gubernator ruszczucki, ani kajmadan szistowski, ani zapti żaden wiedzieć nie powinni. Ani go podejrzewano, ażeby on *mistizuy* jaki podejrzany prowadzić miał. Tytułowano go mehandzi, od mehany, która właściwie „mehana“, to jest domem zajezdny nie była, nie posiadała bowiem ani stajen ani szop. Budynek wyglądał niepokaźnie pod strzechą słomianą i dzielił się na dwie połowy, rozkładające się symetrycznie ku sieni. Z sieni na prawo wchodziło się do izby obszernej, zaopatrzonej w ławy drewniane, w komin i szynkwias. Ten ostatni otaczało okratowanie z drzewa, maskujące przed oczami muzułmanów *ralci i mastylci*, stojące we flaszkach na półce, jakoteż kieliszki i szklanki, kupiące się obok flaszek w nieładzie. Muzułmanie za kratę spojrzenia ciekawe zwracali, prawo atoli dozwalało im patrzeć jeno na komin, na którym od rana do wieczora węgle się żarzyły, i którego okap ugarniowany był w tacki, w *dżezmy* (imbryczki) i filiżanki, w puszki drewniane na kawę mełtą i w butelek kilka, których szyjki, przyłożone z wierzchu fajkami glinianemi i okręcone cybuchami skórzanemi, znamionowały naczynia, narghilami zwane. Światło do izby tej dostawało się przez okna, przedstawiające się

pod postacią otworów kwadratowych, przez które wraz ze światłem wchodziło i powietrze, nie było bowiem szkła ani żadnej innej rzeczy, któraby onemu na przeszkodzie stawała. Na zimę w otwory wstawiano ramy, pęcherzem obciążone; na lato ramy te wyjmowano i kładziono na strych. Wieczorem okna okiennicami, z zewnątrz zasuwaniem, zasłaniano.

Zakład ów — rzecz prosta — na przechodniów i przejezdnych liczył i z nich zyski ciągnął, luboć i mieszkańcy Kriweny ze swej strony się przyczyniali w części jakiejś do pobierania przez Peta z ludzi haraczu pod postacią procentu, conajmniej dwóchsetnego, od włożonego przed laty kapitału. Procent atoli, jaki oni płacili, stanowił część małą w porównaniu z tym, jaki do *dżepu* (kieszeni) mehandżego wpływał w czasie jarmarków szistowskich. Wówczas wszyscy muzułmanie i chrześciance, co z prawego brzegu Jantry do Szistowy szli lub jechali i z Szistowy wracali, zatrzymywali się przed mehana, jedni dla wysmoktania filiżanki kawy, drudzy dla *popicia małko rakci* celem nabrania animuszu jarmarkowego. W dniach też *panagiru* miał on od rana do wieczora do czynienia dużo. Uwijał się niby mucha w ukropie, a nawet brał sobie ku pomocy *momcze* (chłopca) z Kriweny za stosownem jednorazowem wynagrodzeniem. W dniu inne jednak starczył sam; zdarzały się zaś momenty takie, w których od rana do wieczora do mehany żywy nie zajrzał duch. W razach takich Peto oddawał się rozmyślaniu, drzemaniu i utrzymywaniu ogniska na wzór tego, jak kapłanki litewskie Znicz w popiele utrzymywały. Przytem nasłuchiwał,

i tak sobie słuch wydoskonalił, że rozpoznawał skrzyp maży za górą i krzyk surudżija w kołowrocie szistowskim. Skoro doszedł słuchu jego jeden lub drugi wnet się Peto do ogniska zwracał, węgla dokładał i mieszkem z pod spodu dmuchał.

W momencie, w którym się opowiadanie niniejsze rozpoczyna, nastał był właśnie dzień taki. Bezrobocie zupełne. Peto na ławie usiadł, ręce na piersiach skrzyżował, powieki zamknął i od czasu do czasu dłonią sobie przed nosem machał. Czynił to z powodu much, którym pozwalał łazić po obliczu swoim całym, z wyjątkiem okolicy, łączącej nos z wargą wierzchnią. Gdy mu która do nozdrza zaglądała, wnet się z oznakami niecierpliwości budził, rzucił i ręką wymachiwał; niekiedy w dodatku klął i dziwował się, co za interes mieć mogą muchy do nosa jego. Zarzucał im rzecz straszna: pezewenkostwo.

— Pezewenk!... — wybuchnął, nacierając sobie z przyciskiem okolicę pod nosem palcem.

W chwili tej przed oknem przemknęła postać ludzka.

Peto z ławy wstał i do ogniska się zwrócił.

Do izby wkroczył człowiek jeden, za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty i siódmy. Policzył ich, mimo, że się od komina, zajętym będąc dokładaniem węgla i dmuchaniem, nie odwracał i mimo, że na nich nie patrzył, wiedział, co to za jedni. Byli to nizami z pułku, rozlokowanego częściami po miastach naddunajskich. Pierwszy, co wszedł, miał na sobie mundur oficerski, na piersiach ryngraf, przy boku szablę krótką, za pasem rewolwer, na głowie fez czerwony

z kutasem regulaminowym, na nogach pantofle z za-  
piętkami. Inni odzieżą wydawali szeregowców, a po-  
między nimi jeden wedle naszywek zdradzał osobi-  
stość, przewodniczącą w dziesiątku i tytułowaną  
z racyi tej onbaszi, tak samo jak wedle oznak w ofi-  
cerze rozpoznać można było milazima, odpowiadające-  
go stopniem najniższemu stopniowi oficerskiemu  
w armiach europejskich.

Milazim przez izbę ukośnie przeszedł, przed ła-  
wą pantofle z nóg zrzucił, usiadł i nogi pod siebie po-  
dłożył. To samo uczynił onbaszi, pierwej jednak ka-  
rabin przy progu zostawił i tornister z ramion zrzucił.  
Za przykładem onbaszi poszli i szeregowcy je-  
den po drugim. Pozasiadali szeregiem na ławie i je-  
den po drugim wydobywali z zanadry cybuchy, fajki  
i kapciuchy: fajki powolnie nakładali i pierwszy, co  
nakładania dokonał, odezwał się:

— *A tesz* (ognia).

Mehandzi, który przez ten czas ogień rozdmu-  
chał i wodę w dużym blaszanym imbryku na węglach  
postawił, wydobył z za pasa szczypce, ujął w szczy-  
pce węgielek i zaniósł go żądajacemu.

Żądanie to powtórzył drugi i również obsłużony  
został. Po drugim odezwał się trzeci, dalej czwarty  
i tak do końca. Siedem ust pić poczęło dymy z sie-  
dmu cybuchów; kiedy zaś mehandzi lokował w fajce  
węgielek milazimowi, ten następujące rzucił wyrazy:

— *Biraz kate...*

Znaczyło to: „jedną kawę“, to jest: wódz zażą-  
dał filiżanki kawy czarnej. Mehandzi z imbryka du-  
żego do małego mosiężnego wody trochę wlał i na

węglach postawił; gdy woda zawrzała, wsypał łyżeczkę kawy mielonej, znów na węglach postawił, zagotował raz, drugi i trzeci, wziął tackę, na której w podstawie blaszanej ulokował filiżaneczkę malutką; z filiżaneczką w jednej, z imbryczkiem w drugiej ręce do milazima podszedł, nalał i podał mu napój, porównywany przez niektórych do nektaru, a okryty sutym kozuszkim fusów. Turek z ostrożnością filiżankę do ust podniósł; nie dotknął jej ustami jednak, ale, nstawivszy je, powietrze w siebie wciągnął i wraz z powietrzem wciągnął warstwę, co płyn okrywała. Dokonawszy tego, cmoknął razy parę, jak zwykł czynić smakosz, gdy mu łyk lub kęsok osobliwy podniebienie polechce. Poczekał, dłonią się po piersiach pogładził, i następnie, popijając z filiżanki haustami małemi, ku rzył powoli fajkę.

Przykład, przez wodza dany, znalazł w podkomendnych naśladowców. Nizami jeden po drugim kawę sobie podawać kazali. Mehandzi obsłużył wszystkich i, gdy dzieła dokonał, zwrócił się, o brzeg komina plecami się oparł i ręce na piersi skrzyżował w oczekiwaniu, czy na rozkazy dalsze, czyli też na rozmowę. Rozkazy nie nastąpiły; po niejakiem czasie atoli zawiązała się rozmowa, która się rozpoczęła od wymiany pomiędzy nim a milazimem pozdrowień zwyczajnych: „*hasz gielidy*“ i „*safał gielidy*“, poczem milazim zapytał:

— *Ne war, ne jok* (co jest, czego niema)?...

— *Sen bilir, efenüm* (ty wiesz, panie)...—odpowiedział Peto.

Milazim w cybuch dmuchnął, dymu w pierś naciągnął, z ust go kłębami puścił i znów zapytał:

— Zachodzi do *kawene* twojej ludzi dużo?...

— Ij... odpowiedział—raz dużo, znów niedużo...

— Co to za ludzie?

— Ludzie...—wymienił okolicznych wsi kilka.

— Dobrze...—mruknął milazim i zapytał:—Znajomi twoi?...

— Znajomi i nieznajomi...

— Nieznajomi... eh?...

Peto ramionami ścisnął na znak, że o nieznajomych nic powiedzieć nie umie.

— Przecie?...—nastawał milazim.

— Alboż to Jantra owcy, co do niej po napicie się wody przychodzi, pyta, czyja ona?...

— *Ii* (dobrze)...—milazim na to.—Tyś jednak nie Jantra...

— To też ludzie, co przychodzą, przychodzą nie do mnie, ale po kawę...

— I po raki...

— Prawowierni po kawę, raja po raki...

— I raja milczy, pijąc?

— Albo milczy, albo nie milczy...

— A gdy nie milczy, to co?

— Gada, efendim...

— Tyś mądry...—odparł milazim, który w celu jakimś zapytania zadawał i otrzymywał od mehandżego odpowiedzi wymijające.—Tyś mądry i masz uszy do słuchania.

— O, tak...—odrzekł Peto z akcentem przekonania.

— Nie słyszałeś więc czego?...



— O, efendim...—odpowiedział, rękę podnosząc i od niechcienia nią machając, gdybym miał paryczek tyle, ile słów mi w jedno ucho weszło, byłbym w świecie całym człowiekiem najbogatszym...

— Hm?...—Turek głową pokręcił.

— Słucham, ale nie słyszę... to nie moja rzecz...

— Uhm...—mruknął milazim--ale... patrzysz?...

— Patrzę...

— Eh?...—zapytał.

Mehandzi znów ramionami ścisnął.

— Komita jaki w oko ci nie wpadł?...

— Co to: komita?...—zapytał Peto.

— Komita... hm?... Ja sam nie wiem... odrzekł milazim i zwrócił się z wyrazem zapytania w oczach do żołnierzy

— Komita...—powtórzył jeden, z cybucha się zaciągając.

— Komita... — powtórzył drugi, nachylając się nieco i z fajki popiół o brzeg ławy wytrząsając.

— Komita...—powtórzył trzeci.

— Musi to być — odezwał się milazim—*esnaf* (rzemiosło) chyba takie...

Nizami poważnemi głów skinieniami trafność domysłu naczelnika swego uznali.

Peto zachowywał obojętność absolutną. Na twarzy jego nie manifestowało się ani przeczcucie ani uznanie. Czekał.

— To *esnaf* taki...—powtórzył milazim, na mehandzkiego wejrzenie zwracając.

— *Esnaf?*... może... — odrzekł Peto, popierając wyraz ostatni skinieniem głowy i ruchem brwi.

— Wiesz?...

— Ty wiesz, efendim...

— Té... cmoknął Turek i głową w tył rzucił. *Esnaf* ów jest taki, za który do *apsu* (więzienia) wtrąbają, lby ucinają albo wieszają... Wiesz?...

— Phiii... Peto na to i głową pokręcił.—A jam myślał, że to wedle tych czyźmów a la franka...

— *Jokter*...—zaprzeczył milazim—to nie to...

— Cóżby to było?

— Może to co a la franka... *Mistiszug* jakiś...  
Komita i koniec...

— Hm...—wytchnął mehandzi.

— Myśmy tu wedle tego przyszli i w mehanie twojej zostaniemy, ażeby za komitą naglądać...

Peto na oznajmienie to nie odrzekł ani słowa. Zapanowało w izbie milczenie, które przerwał milazim, odzywając się do onbaszi:

— Postaw, synu, szyldwacha i powiedz mu, co jak...

— Eh?...—onbaszi na to;—cóż i jak?...

— Niech na most patrzy i, gdyby spostrzegł, że się co takiego, niby komita, pokazało, niech zatrzyma i na wartę zawoła... Rozumiesz?

— Rozumiem, efendim...

Po odpowiedzi tej onbaszi na jednego z żołnierzy skinął, i ten, z ławy się zsunąwszy, nogi w pantofle włożył, karabin ujął i stanął. Onbaszi przed mehanę go wyprowadził. Słychać było, jak mu, co do komity, nakaz dawał. Po chwili powrócił.

— Eh?...—zapytał milazim.

— Wszystko dobrze, efendim... Most tak, a szyldwach tak: słowom tym towarzyszyła gestykulacya odpowiednia;—mysz się nie przesunie, ażeby jej nie zobaczył...

— Myszy niech tam sobie przechodzą, i psy, i koty, i ludzie, byle tylko komitę złapać...

— Nie ujdzie ona...—odrzekł onbaszi, na ławę włącząc,—chybaby na Biele poszła...

— I tam, synu, warta stoi...

Nastąpiło milczenie dłuższe, poświęcone dumaniu, któremu się nikt chyba, tak jak Turcy, oddawać nie umie. Siedzieli wzdłuż ściany poważnie i dumali. Mehandzi czas jakiś koło ogniska się krzątał, filizanki na miejscu swoim poustawiał, węgle poprawił, popiołem je przysypał, imbryk z wodą ustawił tak, ażeby woda zachowywała temperaturę wysoką, chwilę przez drzwi otwarte na dwór patrzył, nos w fartuch utarł i, fajkę sobie nałożywszy, a potem ją zapaliwszy, obok milazima miejsce zajął.

— Bieda, efendim...—odezwał się.

— Jaka?...—zapytał Turek.

— Źle teraz na świecie...

— Czemu?...

— Ludzie się chwytają rzemiosł takich, za które ich więżą, ścinają i wieszają...

— Chwytają się...

— Tego dawniej nie bywało...

— Nie bywało...

— Więzono, ścinano i wieszano hajduków...

— Prawda twoja...

— Toć chyba ta komita a hajductwo—to jedno...

— Tę...—zaprzeczył milazim.—Nie jedno...

— Jeżeli niejedno, na cóż ją tak samo więżą, ścinają i wieszają?...

— Tak, *dżanem* (duszko) *bizim* (nasz), padyszach kazał... A jak on kazał, tak być musi... ot co...

— Ani słowa... — wtrącił mehandzi.

— Gdyby mi kazał odciąć głowę tobie, *dżanem*, wziąłbym nóż i oderznął... ot co...

— Ohum... — odrzekł mehandzi z rozwagą. —  
Mnie to jednak nie spotka...

— Nie gadaj tego, *dżanem*...

— O mnie padyszach nic nie wie...

— Jako nie wiel!...—zaprotestował milazim.

— Zkądże?..

— Posłuchaj, wytłómaczę tobie: zapti ciebie zna?..

— Zna... — odrzekł Peto.

— Otóż widzisz: zapti powiedział o tobie adze, aga mudirowi, mudir kajmakanowi, kajmakan paszy, pasza wielkiemu wezyrowi, a wielki wezyr padyszachowi... W sposób ten padyszach wie o wszystkim i, gdyby się jemu głowy twojej zachciało, rzekłby jeno do wielkiego wezyra: „Głowa mehandżego“... i wnetby ona w torbie do Stambułu pojechała... *Bilir sen* (rozumiesz)?..

— Rozumiem... — odpowiedział Peto i wykonał ruch ciałem, znamionujący, że ma zamiar wstać.

— Poczekaj trochę... — powstrzymał go milazim. Mehandzi pozostał.

— Pójdiesz do czorbadżego i powiesz mu, że przyszedł do Kriweny milazim z sześciu nizamami i trzeba, żeby ich Kriwena karmiła, bo oni nie na to

są padyszacha ludźmi, ażeby o głodzie pozostawali...

— Dobrze...—odrzekł mehandzi.

Za czasów panowania tureckiego prawo zwyczajne chciało, ażeby każdy podróżny, przedstawiający sobie (czorbadzi) paszport, zwany *teskierą*, pozostawał na utrzymaniu gminy przez dni trzy. dawano mu mieszkanie i jedzenie. Prawo to tembardziej przysługiwało urzędnikom, tak cywilnym, jak wojskowym. Wojsko dostawało wprawdzie racye, ale gdy w koszarach stało. Oddziały wykomenderowane przechodziły na utrzymanie mieszkańców wioski, którzy po wsiach urządzali pomiędzy sobą kolej. Do tego to prawa odwołał się milazim, odwołując się w sposób ten i do mehandzkiego, który, jako mieszkaniec wioski, obowiązany był do brania udziału w kolei, jako właściciel zaś domu, w którym się goście zainstalowali, do jej rozpoczęcia. Zrozumiał on przymówkę, nie poszedł na wieś do czorbadzkiego, lecz przeszedł je-no przez sień i rzucił kilka wyrazów żonie, oznajmiając jej, że zająć się powinna przyrządzeniem dla niza-mów posiłku. Kobieta wnet się przy pomocy córki około tego zakrzętnęła.

W połowie domu, służącej rodzinie mehandzkiego za mieszkanie prywatne, urządzenie wewnętrzne różniło się od tego, jakie się widzieć dawało w kawenie. Składało się ono z izby jednej, lecz nie było w niej ław, ani żadnego do siadania sprzętu, ani nawet sof, w jakie zazwyczaj mieszkańcy zamożniejsi mieszkania swoje zaopatrywali. Robota stolarska nie dawała się spostrzegać w niczem, z wyjątkiem stolika krągłego, bardzo niziutkiego, postawionego bokiem pod ścia-

ną. Na ścianach półki założone były naczyniem kuchennem i stołowem. Podłogę przykrywały w części rogózki wydeptane, pod ścianami spoczywały stosy poduszek podłużnych, słomą i wełną wypchanych i obciągniętych po jednej stronie perkalikiem wzorzystym, barwy brunatnej. Poduszki te służyły za pościel i do siadania. Powłoka na nich nie zalecała się świeżością. Pod jedną ze ścian, nad położoną na ziemi szeroką płytą kamienną, wznosił się okap komina, zaopatrzonego wewnątrz przekładzinami, od których zwisały łańcuchy, podtrzymujące kociołki miedziane. Przy progu na kolku grubym zawieszony był kociołek z wodą i na tymże kolku czerpak blaszany. Takie było umeblowanie i zaopatrzenie izby tej, będącej zarazem kuchnią, sypialnią, jadalnią i bawialnią.

Przebywało w niej kobiet trzy, reprezentujących trzy wieki: późny, dojrzały i młodociany. Pierwszy przedstawiał się pod postacią staruszki, co z boku na podłodze siedziała i wełnę przędła; wiek młodociany godną miał przedstawicielkę w osobie dziewczyny dziewiętnasto, może dwudziestoletniej, przystojnej i na postaci swojej świadectwo zdrowia noszącej, która obok niej siedziała i wełnianą tkaninę włóczką czerwoną wyszywała. Kobieta dojrzała po izbie się krzątała.

Kiedy nizami nadeszli, drzwi od izby były otwarte. Kobieta dojrzała wnet je zamknęła.

— Po co?... — zapytała stara.

— *Askierlar* (żołnierze)... — była odpowiedź.

Staruszka z niepokojem w oczach na dziewczynę spojrzała. Przez chwilę oblicza trzech kobiet wyra-

żały na słuchiwanie. Na zamaskowane w tylnej ścianie drzwiczki okiem od czasu do czasu rzucały, lecz po uciszeniu się odgłosu chodu żołnierzy w sieniach — spokój na oblicza ich powrócił.

— Zapewne jacyś to, co z Szistowy do Ruszczuku albo z Ruszczuku do Szistowy przechodzą... — odezwała się kobieta w średnim wieku. — Kawę popiją i precz sobie pójdą...

— Dałby to Bóg.. — odparła stara. Ale..

— Co ale, babo?... — zapytała po chwili dziewczyna, gdy staruszka myśli swojej nie dopowiedziała.

— Askier... nieszczęście... — odrzekła.

— Nieszczęście, gdy przychodzi i napada...

— Askier... nieszczęście... — powtórzyła stara.

— Oni precz pójdą...

— Pójdą... może pójdą... dałby to Bóg..., ale pokazanie się ich, jak pokazanie się zmarłego, co z grobu wstaje i pomiędzy żywych ludzi idzie, coś niedobrego wróży...

— Babo... babo... — westchnęła dziewczyna, akcentując westchnienie tonem trwogi.

— Bo, — ciągnęła stara, — czemu oni nie siedzą w Ruszczuku albo w Szistowie, kiedy im tam dobrze?..

— Idąc z Ruszczuku do Szistowy, przechodzić muszą tędy... — odezwała się kobieta w średnim wieku, która, przewidując snąć, że dla nizamów jadło przysposobić trzeba będzie, około ogniska się krzątała.

— Zawsze askier... nieszczęście... — rzekła stara i nie odzywała się już więcej.

Nie odezwała się wówczas nawet, kiedy mehandzica, usłyszawszy ruch w sieni, przez okno wyjrzała

i oznajmiła, że jeden z askierów przed mehaną na warcie stanął. Westchnęła jeno.

Wyrazy, które Peto przez drzwi rzucił, były następujące:

— Jadła dla siedmiu askierów... Marika niech się wybiera wieczorem do Draganicy...

Mehandzica wszystko do przyrządzenia posiłku w pogotowiu miała, z wyjątkiem placeka, na który ciasto zamiesić i który upiec należało. Nie zabawiło to jednak. Podczas, kiedy się strawa w przystawionych do ognia naczyniach gotowała, dziewczyna ciasto zamiesiła i placek duży na desce złożyła. Mehandzica go rączką od łyżki drewnianej raz koło razu pokłuła; następnie w ognisku krąg na płycie kamiennej oczyściła, na kręgu tym placek umieściła, popiołem gorącym z wierzchu go przykryła i zajęła się przysposobieniem stołu.

Przysposobienie stołu polegało na okryciu stojącego pod ścianą stoliczka obrusem, na postawieniu na nim równej z nim wielkości tacy i na zastawieniu go naczyniami, składającymi się z łyżek drewnianych, solniczki, pieprzniczki i talerzyków paru, z których na jednym był groch prażony, na drugim oliwki. Pośrodku postawiła misę z wznoszącym się na niej w postaci stożka pilafem. Dokonawszy tego do staruszki się zwróciła.

— Majko stara... — rzekła.

Staruszka się z siedzenia nie bez trudności dźwignęła, kądziel na bok odłożyła i z rąk mehandzicy stoliczek z jadłem wzięwszy, do sieni z nim wyszła. W sieni spotkał ją mehandzi.



— Chcą na dworze posiłek przyjmować...—odezwał się.

Staruszką się zatrzymała i stała, póki przed nią nie przedelfowała komenda cała,—milazim na ostatku. Ten na nią okiem rzucił i, do Peta się zwracając, zapytał:

— Czy w domu u ciebie bułki ani momicy niema?..

— Niema, efendim...

— Musisz być przecie, dżanem, żonaty... — powiedział Turek, kierując się w cień orzecha rozłożystego rosnącego nieopodal od mehany, z boku nieco.

— *Ewet* (tak jest) efendim... — odrzekł Peto.

— Czemuż nie bułka jadło nam niesie?

— Stara moja niewiasta niedomaga...

Wyrazy: „stara moja niewiasta“ wymówił z przyciskiem—celem zaznaczenia, jako żona jego nie jest już „bułką“, to jest mężatką młodą, że nie należy do rodzaju mołodyc, na które Turcy bardzo byli łakomi, — bardziej, aniżeli na dziewczęta. Reformy, od czasu wydania przez Abdul-Medżida tanzimatu, osłaniały te ostatnie. Niekoniecznie, zwłaszcza oficerom w stopniu tak niskim jak milazim, bezpiecznie było z nimi się wdawać. Co innego urzędnicy wyżsi. Milazimom atoli nadużycia nie uchodziły płazem. Wypadków kilka, które za sobą pociągnęły kary surowe, ostudziło zapalę ich i zmusiło do ostrożności we względzie wdzięków dziewiczych. Reguła ta „bułek“ nie obejmowała, wchodziły bowiem do kategorii podziału, który się narodowi panującemu słusznym i godziwym wydawał.

Milazim pod orzechem zasiadł, zasiedli nizami: sformowało się koło, w którego środku mehandzi wzięty z rąk staruszki stoliczek postawił. Staruszka poszła po placek i wyniosła go obwinięty w ręcznik; mehandzi zaś wyniósł dzbanek z wodą i miednicę z mydłem. Nastąpiło umywanie rąk, poczem placek wręczony został milazimowi, który go połamał i przed biesiadnikiem każdym kurzący się oparem kawałek położył. Jedzenie rozpoczęło się od placka. Turcy, w palce dmuchając, odłamywali kawałeczki, i kawałeczki te, na galki umięte, połykali. Gałek takich ten połknął dwie, ów trzy. Milazim wreszcie zaatakował pilaf palcami, dając w sposób ten hasło podkomendnym swoim, którzy do misy przypuścili szturm ogólny. Jedli i od czasu do czasu popijali wodą ze dzbana, z rąk do rąk podawanego.

## II.

Pod orzechem przed mehaną kriweńską rycerstwo sultańskie posiliło się należycie. Peto, luboć z góry wiedział, że pariczki jednej za to nie dostanie, nie skąpił. Żona jego pilafu samego ugotowała tyle, iż siedmiu ludzi głód zaspokoić mogło. Na pilafie atoli nie poprzestała. Po daniu pierwszym wysłała drugie. Pilaf zastąpiła czorba, polewka kwaskowata, za-

bielana, w której kawaleczki mięsa pływały. Po czorbie nastąpiła osypana pieprzem tureckim potrawka, po której przyszły również opieprzone jaja, poprzedzające koźlęcinę pieczoną. Turcy mundury i wszelką podmundurową odzież na sobie porozpinali i dary boże powoli a rozważnie spożywali, bacząc na to, ażeby nie na misach nie pozostawało. Przychodziło im to z trudnością niejaką, nie ustawiali jednak. Oddychali z głębi piersi, wzdychali, odsapywali i swoje robili. Posługiwali im staruszka i mehandzi: ta próżne misy odnosiła, pełne wносиła, ten je uprzętał i stawiał.

W ciągu jedzenia na moście pokazało się ludzi kilkoro. Najpierwszy zoczył ich onbaszi — milazima zlekka lokciem szturchnął i rzekł:

— Patrz...

— Co, synu?... — odparł milazim, na most wejście zwracając. — Ludzie jacyś...

— Czy nie komita?... — szepnął onbaszi.

— Zobaczymy... Mimo przechodzić muszą...

Niebawem ludzie się zbliżyli. Była to gromadka, złożona z osób tuzina płci obojga i wieku różnego. Troje dzieci szło o własnej sile, dwoje w płachtach kobiety na grzbiecie dźwigały; kobiet trzy ugięło się pod pakunkami, obwinętymi w radua brudne, a jedna bardzo stara postępowała, opierając się na kiju długim, co jej w ręku sterczał. Jeden z mężczyzn popędzał osła, objuczonego sakwami i dragami, dwaj inni szli swobodnie.

— *Uzinganlar* (Cygani)... — rzekł onbaszi, gdy się gromadka zbliżyła.

— A widzisz..., nie komita... — odrzekł milazim.

Cyganie podeszli i nieopodal się zatrzymali. Kobiety ciężary z grzbietów na ziemię spuściły. Gromadka uszykowała się frontem do Turków; w szyku ładu nie było, ale było to, że wszyscy, starzy i młodzi, mieli oczy, na stojący wśród żołnierzy sułtańskich stoliczek zwrócone.

— Eh?..—z akcentem zapytania odezwał się onbaszi.

Milazim, który w chwili tej kość ogryzał — nic nie mówiąc, kość niedogryzioną bokiem pomiędzy Cyganów cisnął. Cyganie się na nią rzucili; jedno z dzieci ją porwało, lecz z kobiet jedna mu zdobycz wydarła, jeden zaś z mężczyzn kobietę za rękę pochwycił i szarpać się z nią jął. Onbaszi cisnął kość drugą, któryś z prostych żołnierzy trzecią, inny lebek koźlęcy. Cyganie się darli. Widok ten wielce Turków bawił, przypatrywali się i śmiali, i gdy spokój powracał, rzucali pomiędzy przybyszów jakiś jadła kawałek i wywoływali wśród nich zaburzenia, które doprowadzały do tego, że Cyganie i Cyganki na ziemię padali i tarzali się. W razie takim Turcy śmiechem głośnym wybuchali i wywoływaniem szarpiącym się ochoty dodawali.

— Dalejże, niewiasto!.. zgnieć chłopca!.. za gardło go!..

— A nuże, chłopie, kobiecie się nie daj!..

Tarzanie się po ziemi doprowadzało niekiedy osobistości płci odmiennej do przybierania położeń, przyzwoitość, a nawet i moralność obrażających. To dopiero rycerstwu sprawiało uciechę ogromną. Do łez oficer, podoficer i żołnierze się śmiali.

— Aj da!... A no jeszcze!... — wykrzykiwali.

Hojność ich potęgowała się. Pod koniec obiadu mehandzi postawił na stole kajmak, hałwę i rahatłukum. Kajmaku, będącego niczem innym tylko kozuszkim ze śmietanki, ciskać kawałkami nie mogli; za to rahatłukum i hałwy nie jedli,—wszystko na Cyganów poszło.

W końcu przebrało się. Mehandzi dań więcej na stole nie stawiał. Cyganie, w kupkę ścięśnieni, stanęli jakby w oczekiwaniu czegoś jeszcze.

Postrzegacz uważny w tej, jaką oni wyprawili hecy, dopatrzyłby z łatwością, że darcie się ich i szarpanie cechował charakter widowiskowy. Nie było w nich prawdy. Była to poprostu komedia, odegrana w celu dostania okruchów ze stołu pańskiego. Okruchów nie stało, — komedia się zakończyła, i w chwili później Cyganka stara, odłączywszy się od gromadki swojej, do stołu podeszła. Podeszła i coś mruzcąc pod nosem poczęła.

— Hm?... tobie się, matko, jeszcze i par zachciewa...—odezwał się milazim.

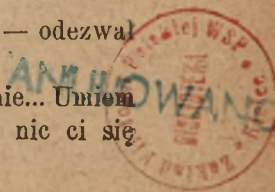
— Dajcie, jeżeli łaska... dajcie, ałlah wam na tamtym świecie odda... — przemówiła.

— Czyż my tobie nie nadawali jadła?...

— Nie mnie, duszyczko... nie mnie, koteczku... Ja stara... widzisz?.. Młodzi mnie odjedli... Dajcie starej, a to, co dacie, Monlair i Nankir zapiszą i przypominą wam, chociażbyście sami zapomnieli...

— Chcesz, żeby ci dawać daremnie... — odezwał się z żołnierz jeden.

— Nie daremnie, koziołku, nie daremnie... Umiem ja zakłęcie takie, że, gdy skakać będziesz, nic ci się



nie oberwie... Umiem choroby odmawiać i przyszłość odgadywać...

Turcy się o przyszłość nie troszczą zbyt, przekonani będąc, że jaką jest w księgach przeznaczenia zapisaną, taką będzie i nie jej nie zmieni. Dla tego milazim obojętnie słów starej Cyganki wysłuchał i odpowiedział zapytaniem, oczami na Cyganów wskazując:

— Mają oni muzykę?..

— Mają, dżanem... — odpowiedziała stara.

— Ii... ot... — do żołnierzy się zwrócił i z akcentem zapytania rzekł: — gdyby tak raki?

Onbaszi westchnął, inni wzdychali także, jeden zaś tak westchnął, że aż jęknął.

— Cóż?... — zapytał milazim.

— A cóż?... — odpowiedział jeden, drugi.

— Raki (gorzałka) nie szarap (wino)...—zamruczała Cyganka.

Prorok wina prawowiernym zabronił. O gorzałce Koran milczy.

— Więc tak... — zaczął milazim, — mehandzi przed nami raki postawi, a Cyganie będą nam grali, śpiewali, tańczyli... to i, — dodał, widząc, że stara nie odchodzi, — może się tam dla nich ghurusz jaki znajdzie...

— Dobrze, duszyczko...—odrzekła stara. — Zagrają ci i zatańczą...

Oddaliła się. Peto zapytał:

— Jakiej?...

— Mastyki...—obpowiedział milazim.

Podkomendni jego nie zaoponowali, w chwilę później na stole zjawiła się flaszka spora, obok niej dzdaneek z wodą i dokoła siedem lampeczek. Lampeczki mehandzi w jednej trzeciej nalał płynem przezroczystym, do którego gdy dolał wody, płyn stał się białym, jak mleko. Trunek ten, powiedziawszy nawiasem, bardzo smaczny i woń żywiczną roniący, służy ludziom na wschodzie do rozpijania się na zabój. Kolor biały niewinności tem go niebezpieczniejszym czyni. Turcy w nim bardzo smakują.

Równocześnie z ukazaniem się mastyki na stole odezwała się muzyka cygańska, nie taka atoli, jaka bywa na Węgrzech, gdzie Cyganie grywają marsze lzardasze i utwory Liszta nawet, ale pierwotna, polegająca na znaczeniu taktu, podszytem melopeą żalowaną. Do grywania jej służyły dwa jeno instrumenty: piszczałka i bębenek. Cygan jeden piszczałkę w usta wziął, drugi bębenek w górę wznosił i polały się tony, słuch drapiące. Po krótkiej przygrywce ozwała się pieśń jękliwa, złożona ze strof, których początek i koniec brzmiał powtarzaniem po razy kilka: „aman“ (niestety).

— Aman, aman, aman... — jęczał śpiewak. — Dziewczyna ma czarne źrenice... aman, aman, aman... Aman, aman, aman... czarne ma, jak węgiel, źrenice... aman, aman, aman...

I tak dalej, — nie wiedzieć dlaczego, przy tem o źrenicach czarnych opowiadaniu, wysunęła się Cyganka jedna i obeszła w kółko, a kiedy doszła do punktu wyjścia, wysunęła się druga, następnie tymże samym porządkiem trzecia, czwarta i piąta. Śród tych

pięciu kobiet, łachmanami okrytych, dwie miały pozór dziewcząt. Wszystkie wyglądały chudo, nędznie, — cera śniada, zęby białe, oczy, jakby gorączką błyszczące, włosy czarne w nieładzie. Gdy wszystkie wystąpiły, poczęły podrygiwać, podskakiwać i wyginać się, nadając ruchom swoim akcent sprośny. Turków to ogromnie zajmowało, zwłaszcza gdy kobiety, w susach, odwracały się, obnażały i podeszwami bosych nóg aplikowały sobie uderzenia, wydające odgłos policzków. Sprawiało to efekt błyskawiczny. Turcy, mastykę popijając, zachwycali się.

Widowisko się jednak skończyło i znów stara Cyganka do stoliczka podeszła.

— Par chcesz... — przemówił milazim, — par... uh?... i zapytał: — Czemu to bez niedźwiedzia chodzicie?...

— Zdechł nam, duszko, niedźwiedź..., zdechł... — odpowiedziała z westchnieniem.

— Gdybym niedźwiedzia widział, tobym tam ja ki ghurusz dał...

— I jabym dał... — dodał z żołnierzy jeden.

— I ja... — powtórzyli po kolei inni.

Wtem onbaszi milazima w bok zlekka potrącił i uwagę jego na most zwrócił.

— Eh?... co?... — zapytał milazim.

— Człowiek jakiś... Czy nie komita?

Milazim się wpatrzył i, na jednego z nizamów skinąwszy, rozkazał mu pod broń stanąć. Nizam rozkaz wykonał, — wst<sup>ł</sup>, razy kilka odchrząknął, karabin ujął, i zaledwie stanowisko zajął, na wysokość mehany doszedł przechodzień, którego pozór nic podej-



rzanego nie zdradzał. Na stopach miał chodaki skórzanego niewyprawne, włożone na onuce, które mu grubo do kolan nogi obwijały; grzbiet okrywała mu z grubego sukna *haba*, niezgrabna odzież wieśniacza; na głowie czapka barania, kылпакіem zwana, nadawała mu kształtem swoim pozór grzyba ruchomego. Niezgrabność jego rażąca była tembardziej, że się wydawała nienaturalna, zewnętrzna niby skorupa, przypadkiem narosła, czy też umyślnie wciągnięta. Nawet skrzywienie głupawe na twarzy nie odpowiadało oczom, które wyrazem rozgarnięcia, jeżeli nie rozumu z pod czapki spoglądały.

Gdy się człowiek ów zbliżył, chwając się na grubych nogach chodem kaczym, szyldwach krzyknął:

— *Dur* (stój)!.. podejdz jeno!..

Przechodzień zatrzymał się, z pod czapki wejrzeniem powiódł i przybrał minę człowieka, nie wiedzącego, co ma ze sobą począć.

— *Giël burdá* (pójdź tu)!... — wzywał go szyldwach.

Chłop postąpił kroków kilka. Szyldwach go za kark ujął, ku stolikowi podprowadził i puścił. Milazim go okiem zmierzył i, gdyby był mastyki nie pił, byłby może dostrzegł, że on z pod czapki strzelił ku mehandżemu wejrzeniem, na które mu mehandzi znacząco odstrzelił. Zamiana ta starczyła za zamianę słów; — było w niej zapytanie, była odpowiedź. Ale nikt nie dostrzegł tego i dostrzedz nie mógł, chyba Cyganka, gdyby była wejrzenia śledziła. Ona jednak patrzyła tylko na chłopca, przypatrywała mu się nawet, ale, — zdaje się, — niczego nie dopatrzyła.

— Ty skąd?... — zapytał milazim.

Chłop z nogi na nogę przestąpił, głową pochwiał i odpowiedział:

— Ja... e... ja... o... z pppoja-ny...

Jąkał się mocno.

— Jaki twój esnaf?

— Owwey pppasę...

— A nie robisz ty komity?...

— Bbbe... pppe... — jąkać począł i nic wykrztusić nie zdołał.

— Komity... komita... wiesz?...

— Nnnnie wwww...

Odpowiadając, nadawał ciału swemu wyginania tak dziwaczne, że wyginania te uwagę onbaszi zwróciły.

— Niedźwiedź... — bąknął pod nosem.

— Zaprawdę niedźwiedź... — potwierdził milazim.

Chłop w chwili tej wydał westchnienie, w którym się słyszeć dał niby wtór mruczenia.

— Niedźwiedź... haj... — odezwał się milazim do Cyganki starej. — Niech tańczy... daruję go wam... Tańcz!.. — przemówił do chłopca, — jeżeli nie chcesz, ażebym z ciebie zrobił komitę i do apsu odesłał..

Przy słowach ostatnich nastąpiła znów pomiędzy mehandżim a przybyszem zamiana wejrzeń, i -- ten ostatni głucho zamruczał.

— No, bierzcież go... niech tańczy!... ghurusz dam... Niech tańczy niedźwiedź, niech tańczą Cyganki! Dalejże!... — wołał rozochonony milazim pod wpływem mastyki, której mu mehandżi dolewał.



Rozkaz ten wyraźny odniósł skutek niebawem. Jeden z Cyganów zbliżył się do chłopca z drągiem, który mu w ręce włożył, zarzucił mu na szyję sznurek i, kładąc tego dokonał, dwaj inni wystąpili z muzyką. Piszczalka zapiszczała, bębenek się odezwał, Cyganki jedna po drugiej wysuwać się poczęły porządkiem poprzednim, i powtórzył się balet dziki z tym dodatkiem, że w środku koła, po którym krążyły tanecznice, podrygiwał, podskakiwał i pomrukiwał obracany na postrońku chłop bulgarski, udający niedźwiedzia. Żołnierze się z uciechy nie posiadali. Do odgłosów piszczałki i bębena mieszały się okrzyki ich radosne. Wykrzykiwał to milazim, to który z szeregowych. Ciągnęło się to blisko pół godziny, i gdy się skończyło, Turcy obietnicy dotrzymali, wynagradzając Cyganów. Wynagrodzenia dokonano w sposób oryginalny. Kiedy Cyganka znów podeszła, milazim wyjął z kieszeni sakiewkę, z sakiewki wy dostał pieniążek, na Cyganek skinął, ona się nachyliła i on, pieniążek po stronie jednej mocno pośliniwszy, na czoło jej przyklepił. To samo uczynił onbaszi i każdy z żołnierzy. Cyganka, pieniążkami oblepiona, odeszła, z oblicza je sobie zgarnęła, jednemu z Cyganów wręczyła i Cyganie w dalszą drogę wybierać się poczęli. Przed odejściem jednak zgromadzili się u wnijscia do mehandy, prosząc o wodę. Mehandzi im wiaderko i czerpak wyniósł, wyniósł im także i chleba bochenek; oni dziękowali, życzenia składali i następnie z pośpiechem się oddalili. Pośpiechu powód był ten, że unosili czerpak, i chodziło im o to, ażeby braku onego Peto odrazu nie dojrzał. Niepokój ich w tym względzie płonnym był,

podczas bowiem kiedy oni czerpak kradli, mehandzi zajęty był przekradaniem chłopą, co niedźwiedzia rolę odegrywał: maskował go sobą, gdy się on po za nimi przesuwiał. Znikli Cyganie, znikł chłop. Pozostali pod orzechem askierzy, ale i oni niebawem mogli być za zniknionych uważani, albowiem, nim słońce zaszło, ich rozumy, pamięć i czujność mastyka zalała. Mehandzi im poduszki z izby powynosił, i oni się pod orzechem pospali. Szyldwach nawet przykucnął, pochylił się, przyległ i już nie wartował więcej. Siedem waltorni nosowych wygrywało koncert spania, któremu wtórzły odgłosy przyrody, dzwoniącej muzyką komarów, skrzeczeniem żab, naszczekiwaniem psów, brzęczeniem bąków, porykiwaniem bydła i tym szumem głuchym, który w nocy sprawia bieg rzeki.

Askierzy, objedzeni i opici, tego spali. Wątpliwą jest rzeczą, czyby strzelania z działa, czy nawet trąba archanioła Gabryela, gdyby im nad uchem zabrzmiała, snowi ich wydarła. Najlepiej sen służył im w chwili, kiedy na wschodniej horyzontu połowie zaznaczyła się jasna smuga, poprzedzająca jutrzeńkę. Spali tak twardo, że przyszła do nich jedna z przedstawicielek nierogacizny, udała się wprost do głowy milazima, obwąchała mu nos i usta i następnie, głowę jego ryjem podrzucając, czegoś pod nią szukała. On mruzczał, ale spał, przez sen się uśmiechał i do zakłóciicielki spokoju odzywał:

— Graj i tańcz... tańcz... tańcz...

Ręką machnął, — ona odeszła.

Świadkami sceny tej byli mehandzi, mehandzica,

stara majka, młoda dziewczyna i młodzieniec jakiś w paltocie, fezie, spodniach i butach a la franka.

Rzecz ciekawa: z kąd on się tu wziął?

Rzecz ta w następujący zdarzyła się sposób:

Po skończeniu cygańskich z niedźwiedziem udanym tańców, ten, co niedźwiedzia udawał, wśliznął się pod przykryciem Cyganów i mehandżego do mehany i w sieni zwrócił się nie do kawiarni, ale do izby mieszkalnej. Gdy wpadł do niej, mehandżica go ramionami otoczyła i nazywała go Stojanem, a on ją matką. Matką zwał i ją i staruszkę — tę ostatnią „starą“. Kiedy go ona zapytała, dlaczego bawił tak długo, nie jękając się zgoła, odpowiedział:

— Ij... stara majko... miałem do czynienia dużo... obszedłem świata kawał niemały...

— Pół roku ciebie nie było...

— W pół roku zaledwiem się w części załatwił...

— Gdzieżeś bywał?... — zapytała dziewczyna.

-- Gdzie ja bywał!... — odparł, — w Rumelii, w Macedonii, w Serbii, w Rumunii... no i Bułgaryę wzdłuż i wpoprzek obszedłem...

Mehandżica podchwyciła:

— Aleś ty głodny i zmęczony!...

— I głodny jestem, i zmęczony... — odpowiedział, — idę dziś od rana i w końcu, zamiast spocząć, musiałem te komedye przed Turkami grać... To mnie najbardziej dręczyło...

— Synu mój... dziecko moje... — dogadywała mehandżica, układając poduszki przed ogniskiem. — Usiądź sobie i spocznij...

— Niech się przebiorę pierwej...

I rozpoczął przebieranie się od tego, że czapkę z głowy zrzucił. Bez czapki oblicze jego niby się przestoczyło. Gąsienica stała się motylem. Nie był to młody człowiek piękności zachwycającej, wcale jednak przystojny, — brunet rysów regularnych, zwłaszcza zaś opromieniał go ten wyraz pojętności, który mężczyźnie brzydkiemu nawet nadaje urok. Włosy ostrzyżone miał krótko, wargę wierzchnią okrywał wąs, świadczący, że minęły dla niego chwile młodości pierwotnej. Wedle powierzchowności sądząc, liczyć mógł lat od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu.

— Przebierać się chcesz... — zawołała mehandzica głosem, lekką trwogą zaakcentowanym.

— Wytrzymać już nie mogę...

— Askiery... jeżeli zobaczą ciebie...

Przecież tu nie wejdą oni...

— Nie wiem... Lękam się... Co na to powie Peto?... Ojca zapytać potrzeba... Majko, — do staruszki się zwróciła, — idź... zapytaj...

Staruszka wyszła, i w chwilę później do izby wkroczył Peto, Mehandzica przedstawiła mu sprawę przebrania, dodając, jako się o następstwa lęka.

— Ij!... — odrzekł mehandzi tonem lekceważenia. — W momencie tym możnaby milazimowi komite na nos wsadzić i onby jej ani widział...

— To on tu wedle komitetu?... — zapytał Stojan.

— Pewno... Nie wie jeno, co to za *esnaf*...

— *Esnaf*?..

— A tak... Wydaje się mu, że to rzemiosło...

— Zkądże to przyszło, że tu wartość postawiono?..

— Jakem ze słów milazima wyrozumiał, kajmakan szistowski dostał z Ruszczuku nakaz obsadzenia wojskiem wszystkich na Jantrze mostów... no i przysłał tu milamiza z sześciu askierami... Ale, — przerwał sobie, — muszę ja do Turków wracać i dopilnować, ażeby butelkę mastyki wysuszyli... Gdy to nastąpi, będzie spokój: Turcy nic wiedzieć nie będą, chociażby przechodził mimo nich cały z muzyką komitet... Niech się przebiera bezpiecznie... — rzekł do żony.

Wyszedł. Stojan na poduszce usiadł i jał chodaki rozwiązywać sobie. Siostra przysiadła.

— Pomogę ci... — rzekła.

— Dobrze... Bacz jeno na to, żebyś odwijiała onuce ostrożnie, w onucach bowiem znajdują się papierki różne, które być muszą w całości zachowane.

Dziewczyna odwiązywała rzemyki i sznurki i z ostrożnością jak największą odejmowała płyty z wierzchu wełniane, dalej płócienne, pomiędzy którymi znajdowała bądź listy w kopertach, bądź też papiery zapisane mające pozór notatek. Listów tych i papierów rozmiary były małe, a pisanie na nich drobne. W miarę jak je znajdowała, bratu wręczała, a on dokumenty te obok siebie składał. Rozwinęła nogę jedną, wnet do drugiej przystąpiła. W tej także papiery odkrywała. Gdy rozwinęła nogę drugą, nachyliła się, obie w ręce wzięła i pocałunek na nich złożyła.

— Mariko, co tobie?... — krzyknął młody człowiek, nogi umykając.

Dziewczyna nic nie odrzekła. Wstała, ręce złożyła i w płomień się wpatrzyła.

— Coś ty zrobiła?...

— Co?... — odpowiedziała po chwili. — Pomyślałam sobie, że te nogi twoje... noszą cię...

-- Człowieka każdego nogi noszą...

— Ale nie każdego na to, co cię twoje... O, Stojanie!... westchnęła.

— A no... — odezwał się młody człowiek. — Nie czynię czego innego, jeno powinność moją pełnię...

— Powinność... — odrzekła staruszka, która obok przysiadła. — Tyś nie Bulgar przecie...

— A ty co, stara majko, czyś nie Bulgarka?...

— Ja?... no...

— A matka moja?...

— Matka twoja Bulgarka...

— I ojciec mój, i ja bulgarskie ssaliśmy mleko, bulgarskim żywiliśmy się chlebem, pod bulgarską hodowaliśmy się strzechą; nie mamyż my dla ziemi tej, co nas przygarnęła, jak dzieci własne, obowiązków?...

— Dobrze jej życzyć... — odparła staruszka.

— I tak robić, jak ten, co przyjęty do domu, w godzinę, gdy dom ten wali się albo pali, z boku staje i życzliwie z rękami założonemi spogląda, jak właściciele ratują... Tybyś tego nie zrobiła, stara majko...

— To co innego i ja ci na to odpowiem, że bać się niemasz czego...

— Takich jak ty, śmiercią karzą...

— Nie wiesz-że o tem, że śmierć życie daje?.. Karami temi Turcy sami na siebie bicze kręcą...

— Wolałabym, żebyś ty *esnaf trgowacki* prowadził...



— Prowadziłbym, majko stara, gdyby mnie nie ciągnęła siła jakaś nieprzeparta do tej młodzieży, co życie wając, sieje pomiędzy ludźmi ziarna swobody, które wydają owoce pożyteczne i piękne...

Wyrażał się wytworniejszym, aniżeli babka, językiem. Staruszka dodała jeno:

— Obyż Bóg miłosierny nad głową twoją czuwał...

Westchnęła i w milczeniu utonęła.

Stojan się do siostry zwrócił:

— Przynieście mi tu odzież moją.

Dziewczyna odeszła do umieszczonej w ścianie szafy, otworzyła ją i szukać w niej poczęła. Przez czas ten Stojan zrzucił z siebie odzież wieśniaczą, z pod której wy dobył rewolwer, i znalazł się w pogotowiu do przebrania się w chwili, gdy siostra położyła obok niego wszystko, czego do przebrania trzeba było. Przeodziewek odbył się prędko. Chłop, co niedźwiedzia udawał, ani zdaleka nawet niedźwiedzia nie przypominał. Na nogach miał ciżemki, na grzbiecie palto; fez jeno akcentował przynależność jego do społeczeństwa, pozostającego pod władzą Turcji. Europejczycy nawet w Turcji to okrycie głowy przyjmują. Niedogodne jest ono — od słońca nie osłania, ale w zwyczaj weszło, i do zwyczaju stosują się wszyscy.

Stojan się przyodział, na poduszce usiadł i odezwał się:

. Teraz mi tak jakbym sobie długo wypoczął...

Matka, przysposabiając wieszczkę, przy ognisku się krzątała i odrywała się chwilami od czynności na

to jeno, ażeby na syna pełne wyrazu miłości wejrzenie rzucić.

— Wydajesz mi się—rzekła—większy, niż przed pół rokiem.

— Nie urosłem przecie — odrzekł.

— No nie... ale tak mi się wydaje.

— Nie urósł — odezwała się staruszka.

— O! urósł on... — podchwyciła dziewczyna.

— Jakże!... no... nie... — przeczyły babka i matka.

— Urósł!... — szepnęła, patrząc na brata z takim w oczach wyrazem, w którym czytać się zdawało znaczenie, w jakim ona wyraz ten wymówiła.

Toczyło się to, rzecz prosta, wyrostu moralnego. Znaczenia tego zapewne Marika wytłómaczyłaby nie potrafiła — czuła je jednak.

— No... — odezwał się w chwili tej głos od progu. — Askiery na noc całą swoje mają... Choćby im sam sułtan wstać kazał... nie posłuchają... Mastyka ich uspokoiła...

Słowa te wyszły z ust Peta, który, wypowiedziawszy je, do ogniska podszedł, usiadł i przez czas jakiś ramionami i górną ciałą połową wykonywał ruchy takie, jak koń w dolegającym mu chomoncie. Po chwili się uspokoił, z za pasa kapciuch wy dobył, fajkę sobie nałożył i kapciuch synowi podał.

— Nie... — odrzekł ten ostatni.

— Znajdziesz tam papierki na sygareta...

— Ja sygaret nie palę...

— Cóż to?... paliłeś przecie...

— Paliłem i przestałem...

— Bre, bre... — odezwał się Peto tonem, wyrażającym zdziwienie.

Węgielek sobie na fajkę nałożył, zakurzył i zapytał:

— Czemuż to?...

— Obliczyłem, że za to, co przez trzy miesiące na palenie wydaję, kupić można rewolwer, albo książkę...

— Rewolwer albo książkę... — powtórzył mehandzi i zapytał: — Jednakoz to?...

— No, jedno... I to i to do wojny przeciw Turcy służy... Rewolwer noszę przy sobie na to, ażeby się obronić, gdy mnie zapti napadną; książką szturmujemy do państwa tureckiego...

— Wyszurmujecież co?...

— Nie wyszturmujemy, jeżeli szturmować nie będziemy... — odparł młody człowiek.

— Uhm... — mruknął mehandzi. — To, Boga mi prawda... prawda... Z założonemi rękami nie dojdiesz do niczego... Prawda...

— Turcy na książkę rady nie mają...

— Ale mają radę na rewolwery...

— Do czasu...

— Nie rozumiem jednak — podchwycił Peto — czemu oni książki przeciw książce nie stawiają?...

— Stawiają ojczy, ale jej nabijać czem nie mają... nabojem do rewolweru jest proch i kula, do książki prawda i sprawiedliwość... }

— Um?... — znów mruknął mehandzi; może nie zrozumiał porównania, za pomocą którego syn myśl swoją wytłómaczył.

Rozumiała, jak się zdaje, dziewczyna, która się w brata wpatrywała i każdy z ust jego wyraz połykała. Wpatrywała się i wsłuchiwała w rodzaju zapomnienia, w któremby Bóg wie jak długo pozostawała, gdyby matka dwa razy palcem jej nie potraçała i wyrazu tego po raz trzeci nie powtórzyła:

— Trapeza!

Dziewczyna się niby ze snu ocknęła, poskoczyła i stoliczek (trapezę) do wieczerzy przyrządzać poczęła. Wkrótce potem stoliczek nakryty stanął, rodzina go obsiadła i do spożywania darów bożych przystąpiła.

### III.

Bulgarya przechodziła koleje wielce ciekawe. Niegdyś, jak wiadomo, była państwem — mocarstwem nawet. Upadła; — w tem nic nadzwyczajnego: to się mocarstwom przytrafia. Upadła — zapomniano o niej, i ona zapomniała sama o sobie. Zapomnienie to obustronne tak się wyraziło gruntownie, że ją straciła z oczu historia, geografia, statystyka, etnografia i literatura. Bulgarów zaliczano do jednej z Połowcami, Pieczeniegami, Chazarami kategorii, i mężowie uczeni widzieli ich na obszarach Scytyi Herodotowej; brali zaś nazwę prowincyi tureckiej za nazwę, mającą znaczenie nie inne, tylko administracyjne. Ostatecz-

nie: zapomniano o niej, i — co najgorsza — ona sama zapomniała o sobie. Na początku stulecia naszego Bulgar nie wiedział, że Bulgarem jest: miał siebie za raję z prawa, z obowiązku, z urodzenia, i nikt bardziej, lepiej i akuratniej nie uznawał czynów dokonanych i nie stosował się do okoliczności. Taki mu wypadł los: pies się rodzi psem — raja rają; los swój z poddaniem się zupełnem w pokorze przyjmował i był najwierniejszym padyszacha poddanym. Burczeli i burzyli się Grecy, Serbowie, Albańczycy, przewalały się przez Bułgaryę wojny, Turcyja się już rozpadala, on zawsze pozostawał wiernym poddanym i nie rychlej, jak około roku 1850 poczęło mu w głowie świtać. A jak się rozpoczęło, to już i poszło. Świadomość narodowa, która w głębi przez kilka wieków bez kielkowania pozostawała, rozwijała się i szerzyła na podziw szybko za pośrednictwem druków, zaprodukowanych w początkach pod dozorem i za pozwoleniem władzy zwierzchniej. Wraz z tem nasuwać się poczęły nieprzezuwane przedtem kwestye różne; Bułgarzy spostrzegli się, że się im należy kościół narodowy — że się im należą prawa polityczne. O pierwszy upominała się prasa w Carogrodzie, o drugie — dzienniki, broszury i książki, pisane zagranicą i drukowane zagranicą. Naród wewnątrz i z zewnątrz budzony był ze snu wiekowego, albo raczej budził się sam. Rozbudzenie przenikało warstwy rozmaite, a mianowicie mieszczańską i wiejską, wywołując w duszy narodu nieznaną mu zgoła uczucie: miłość ojczyzny. „Ojczyzna“ — idea ta do r. 1850 dla Bułgarów nie istniała; w następnem dziesięcioleciu przezuwana być poczęła; pomiędzy ro-

kiem 1860 a 70 czynami się już zaznaczyła; po r. 1870 we krwi się skąpała. W przeciągu trzech dziesięcioleci urosła, dojrzała i tak wypiękniała, że się w niej młódź rozmiłowywała do szaleństwa, przejmując się na wskroś tym romantyzmem świetlanym, który wyzywa poświęcenie i urabia charaktery.

Do romantyków tego rodzaju należał syn karczmarza, Stojan, przezwany Kriwonowem, od wioski, w której się urodził. W czasie na oślepcież i ślepo dokonanej hadzi Dimitra wyprawy, dorastał i byłby w niej udział wziął, gdyby nie niezależne od niego przeszkody. Znajdował się wówczas w szkołach w Bukareszcie i nie dostał zawiadomienia w porę, a nie dostał dlatego, że uważany był za *malo momcze* (małego chłopca). Miał się już jednak za człowieka, zdolnego za ojczyznę zginąć. Gdy się o smutnem zakończeniu wyprawy dowiedział, udał się do jednego z członków komitetu bułgarskiego, działającego w stolicy Rumunii, z żalami i wymówkami.

— Czemu mnie nie zawiadomiono?

— Masz nie więcej jak lat siedemnaście... osiemnaście może...

— Zdrow jestem i silny!

— A przytem — ciągnął członek komitetu — była to niedorzeczność.

— Niedorzeczność!?! — zawołał zgorzony i zdumiony.

— Poszli i poginęli marnie.

— Marnie?...

Wybiegł w oburzeniu, płakał, długo się uspokoić nie mógł, że nie podzielił losu hadzi Dimitra i towa-

rzyszów jego, i żal ten przylgnął niejako do istoty jego moralnej. Z nim i w nim w lata rósł, wylewając go przed ojcem, matką, babką i siostrą, ile razy z Bukaresztu na święta i wakacje do domu przyjeżdżał. W sposób ten uczuć patryotycznych udzielał swoim, szerzył je w wiosce rodzinnej i nawzajem brał od niej to do gruntu przywiązanie, które rozluźniają poglądy kosmopolityczne. Wychowywał się w Bukareszcie, mieście zeuropeizowanym.

Ojciec na niego nie żałował, mieszkał więc z komfortem, zaznał towarzystwa oglądanego i widział różnicę ogromną pomiędzy życiem w mieście cywilizowanym, a życiem w mehanie kriweńskiej; gdyby przeto nie patryotyzm, byłby się oderwał od tego ostatniego i myślał o sobie.

Stojan, dzięki idei, co mu w sercu zakiełkowała i w myśli wykwitła, był z tych, którzy o sobie nie myślą.

Myślał o nim ojciec i, kiedy on, ukończywszy w Bukareszcie nauki, do domu przyjechał, zapytał go wręcz:

— No... a teraz co?

— Jakto co?... — była odpowiedź jego.

— Co zamierzasz?

— Czy ja wiem co! — odparł.

— Masz może ochotę mehanę po mnie objąć?

— Chyba... nie...

— Bo i ja nie mam ochoty ustąpić ci jej... Lat jakich dziesiątków parę przy kominie stać i kawę gotować mogę jeszcze... Na nas tu dwóch zaś za ciasno, bo tylko w dzień panagiru pomocnika potrzebuję.

— Ja więc... pójde w świat...

— Po co?

— Może co dla siebie znajdę.

— A nie chciałbyś do znalezionej już rzeczy stanąć?

— Czemu nie? — odparł.

— Znasz w Ruszczuku hadzi Christa... Mówilem z nim, a on cię chętnie weźmie do rachunków i pisania listów po rumuńsku i niemiecku.

Stojan na propozycyę tę przystał i w dni kilka później przeniósł się do Ruszczuku na mieszkanie. Zajęcie, jakie mu się tam dostało, było handlowe. Hadzi Christo prowadził interesa rozległe i pozostawał w stosunkach z Siedmiogrodem. Stojan mu się nadał. Stojanowi jednak niebardzo nadawał się handel, którego wszelako trzymał się tak długo, póki się nie rozpoczęły knowania polityczne, będące przytłumionych poprzednio ciągiem dalszym. Przytłumienie dotknęło nie przyczyn, ale następstw, przyczyny przeto ciąg dalszy sprowadzić musiały i sprowadziły.

Po za granicami państwa Otomańskiego, w Bukareszcie, w Belgradzie i gdzieindziej funkcjonowały komitety, tytułujące się centralnemi, rewolucyjnemi, narodowemi ligi macedońskiej, słowiańskimi i t. p. Oddziaływały one na umysły, lecz nie bezpośrednio. Pisma ich, odezwy, manifesta czytały się, ale jako wskazówki jeno, przyjmowane w sensie doradczym. Czynność właściwa odbywała się w kraju pod okiem tureckim, ogniskując się po miastach, bądź w szkole, bądź w cerkwi, bądź też w czytelnii, jeżeli gdzie była.



W Ruszczuku istniała czytelnia. Stojan do niej trafił i stał się w niej gościem codziennym.

Czytelnia, utrzymywana przez notablów, znajdowała się w stanie kwitnącym, posiadała nie tylko przeglądy i gazety, ale i biblioteczkę, wypożyczającą książki. Pozostawała pod dozorem urzędowym chorbadżego gminy bułgarskiej, odpowiedzialnego przed baszą za posilek duchowy, jaki stąd gmina czerpała. Posilek ów regulował się wedle dziennika: *Dunaj*, wychodzącego w Ruszczuku, a przeznaczonego na to, ażeby ludność bronić od wpływów wywrotnych i utrzymywać ją na drodze uczuć lojalnych. Takie było czytelnia zadanie, z którego się wywiązywała w ten sposób, że na stołach i w szafach nie było nic takiego, coby charakter podejrzanym nosiło. Dzienniki, wychodzące w państwie Otomańskim, francuskie, włoskie, greckie, tureckie i bułgarskie, dzienniki zagraniczne, pierwsze poczta wprost do czytelnia odsyłała, drugie szły naprzód do konaku, gdzie przeglądał je urzędnik specjalny i zatrzymywał numery, zawierające w sobie coś, w czem zagrożenie dobrego myślenia upatrywał. Ze wszystkich przeto druków, jakie się tam gromadziły, wydzielano się tam dobre myślenie, mające na celu dobro, przedewszystkiem sultana, następnie baszów, dalej urzędników wszelakiego kalibru i gatunku, dalej muzułmanów, wreszcie wszystkich innych, a zatem i Bułgarów.

Pod koniec panowania tureckiego, Ruszczuk, dzięki kolei żelaznej, która stanowiła komunikację najbliższą pomiędzy Europą środkową a wschodem, począł się być europeizować; będąc zaś rezydencją ba-

szy, wielkorządcy wilajetu, przybierał pozór stolicy. W mieście tu i owdzie stanęły budowle, mogące się słuszenie nazwać kamienicami; zjawiły się hotele i magazyny; wschód i zachód mieszać się poczynął tak, że przewidywać można było, iż z czasem ten ostatni weźmie nad pierwszym przewagę i najprzód z głównej, prowadzącej od portu do dworca ulicy, następnie z innych wyprze lepianki tureckie. Śród mieszkańców także spostrzegać się dawały zmiany, zapowiadające tryumf Europy nad Azyą. Ludność chrześcijańska składała się z Rumunów i Bułgarów, nie licząc Greków i Ormian, niechrześcijańska z Turków, Czerkiesów, trochy żydów. Z wyjątkiem Czerkiesów polor cywilizacyjny przenikał wszędzie potrosze -- do Turczynek nawet pod postacią ciekawości, do chrześcianek zaś w formie prób wdziwania na siebie okryć innych, niż regulaminowe. Mieszczki, należące zarówno do rumuńskiej, jak do bułgarskiej narodowości, występowały chętnie w odzieży europejskiej; mieszczanie również. Był to rodzaj buntu, dzięki któremu ludność się podzieliła na taką, co przez ostrożność trzymała się form dawniejszych, i na taką, co dowodziła odwagi, zrywając z przeszłością, cechującą niewolę. W społeczeństwie miejskiem wytworzył się nawet zastęp elegantów i elegantek, do którego Stojan mógłby, gdyby zechciał, zaciągnąć się. W Bukareszcie wychowany, posiadał pełne do tego prawo. Nie zawadzało mu to, że był synem karczmarza. Na rzeczy takie nie zważano w towarzystwie, w którym o prawach i prerogatywach rodowych wyobrażenia nie miano. Bułgara ani jednego nie zdołał tytuł hrabiego, barona, ry-

cerza: tylko Vogorides mianował się księciem, ale ten się zrumunił i zgreczył. Stojana jednak nie w tę ciągnęło stronę. Towarzystwa wprawdzie nie unikał, ale się też onemu nie oddawał.

W czytelni schodził się z całą inteligencją miejscową, nastrojoną na ton spokojny, któremu za punkt wyjścia służyła reguła:

— Byle nie gorzej, to będzie może lepiej...

Reguły tej trzymał się hadzi Christo i wszyscy członkowie *mizliszu* (rady municypalnej), których *mahała* (gmina) bułgarska z łona swego wybierała. Za regułą tą oświadczała się większość ogromna, i zrazu zaimponowała ona Stojanowi. Milczał i przysłuchiwał się rozprawom, jakie się w czytelni toczyły we względzie spraw publicznych, które Bułgarów wogóle żywo obchodziły. Przysłuchiwało się rozprawom tym wielu ludzi młodych, a między innymi chłopak lat około dwudziestu, przychodzący zazwyczaj w sobotę wieczorem i spędzający w czytelni niedzielę całą. Chłopak ten uwagę Stojana zwrócił pilnością, z jaką słuchał i większą jeszcze, z jaką czytał: w niedzielę, o którejby porze przyjść, zawsze go zastać można było. Odziewał się ubogo i dziwacznie trochę z tego względu, że miał na sobie odzież zbieraną, w części francuską, w części bułgarską. Widocznie dostawała mu się ona drogą datków. Na nogach nosił chodaki. Stojan raz o niego zarządcy zapytał:

-- Co to za jeden?

— Nie wiem — była odpowiedź. — Na imię mu Nikola. Przychodzi w sobotę wieczorem, odchodzi w poniedziałek rano... Wprosił się...

— Więc dwie nocy w czytelni nocuje?

— Nocuje i za to się zobowiązał podłogę myć. Przynosi ze sobą świece i, jak się zdaje, na czytaniu i pisaniu noce spędza.

— Ciekawy człowiek...

Nikoła do siebie Stojana zaciekawił. Zapragnął się do niego zbliżyć i w celu tym niedzieli pewnej przyszedł do czytelni późno. Przez szczeliny okiennic świeciło się. Wszedł. Nie było nikogo, z wyjątkiem Nikoły, który, przy stoliku siedząc, pisał.

— Dobry wieczór — pozdrowił go Stojan.

— Doł ry wieczór — odpowiedział.

— Cóż ty?... nocami pisujesz?...

Chłopak głowę odwrócił, spojrział i odrzekł:

— We dnie czasu nie mam.

Pisanie jego przedstawiało się ze znakiem zapytania z tego powodu, że przed nim leżał słownik. Stojan podszedł, zajrzał i zapytał:

— I co tu robisz?

— A no... przepisuję.

— Słownik?

— Słownik — odpowiedział.

— Na cóż to?

— Kupić nie mam za co, a nauczyć się chcę.

Słownik był francusko-serbski, wydany w Belgradzie w roku 1846. Nikoła go przerabiał na bułgarsko-francuski w porządku alfabetycznym, nie zapisując jednak wyrazów wszystkich. Stojan przypatrzył się temu i dostrzegł pewnej w dobieraniu wyrazów systematyczności. Przewodniczyła temu myśl, zwrócona ku zajęciom, jakim się oddają ludzie.

— Uczysz się więc — rzekł — języka francuskiego?

Uczę się — odpowiedział Nikoła.

— Wyrazów?

— Jak będę wyrazy umiał, to dosyć.

— Trzeba jeszcze umieć je wymawiać i łączyć.

— Co to?... — zapytał chłopak.

— Przeczytaj mi to.

Stojan trafił na wyraz: *pain* (chleb). Nikoła przeczytał go, jak się pisze: p-a-in.

— Tak się pisze, czyta się inaczej — poprawił Stojan i wymówił, jak się wymawiać powinno. Nauczyłbyś się przeto całkowicie błędnie.

— O Boże! — westchnął chłopak.

— Chciałbyś się nauczyć na to, ażeby mówić?

— I mówić i książki czytać.

— Trzeba, żeby cię kto wymawiać nauczył, i żebyś się zapoznał z gramatyką.

— Cóż to gramatyka?

— Nauka o mówieniu i pisaniu.

— Ach! jakżebym z nią zapoznać się chciał.

— Skądże się w tobie ta ochota wzięła?

— Skąd?... nie wiem... — odparł.

— Czemże się trudnisz?

— Pracuję u *abadżija* (krawca).

— Dawno?

— Rok bez mała.

— Skądżeś rodem?

— Z Kotła...

— Krawcowałeś w Kotle zapewne.

— O! nie, nie krawcowałem nigdzie przedtem.

Stanąłem do roboty u abadžija po przyjsciu do Ruszcuku.

— Czemżeś się trudnił przedtem?

— Pasałem owce.

— Umiesz przecie czytać i pisać?

— Uniem — odrzekł — nauczyłem się w dzieciństwie jeszcze i potem...

— Potem co?...

— Miałem książki... czytałem, za owcami chodząc.

— Cóż to za książki były?

Nikoła wymienił: „*Mitarstwata na Błazenna Tcodora*“, „*Rewizjata na Św. Bohorodica*“, „*Czudesata na Św. Bohorodica*“. Pierwsza z książek tych jest opowiadaniem o tem, jak grzesznica nawróciła się zapomocą modlitwy do św. Bazylego i pokuty; druga o tem, jakie Matka Boska w piekle męki widziała; trzecia wymienia 99 cudów, dokonanych przez Najświętszą Pannę. Z dzieł tego rodzaju składała się początkowo literatura bulgarska. Krążyły one w tej szczególnie sferze, w której się nauka na czytaniu kończyła. Nikoła do sfery tej należał.

— Czytałem — powiadał — książki i zdawało mi się, że na świecie niema innych... Czytałem je w polu dla siebie i po kolibach dla owczarzy... Ale raz zaszedłem do Warny z jagniętami na sprzedaż i tam, poniósłszy jagnię na sprzedanie konsulowi francuskiemu, zobaczyłem w domu jego książek mnóstwo. Od tego momentu spokoju nie miałem... Owczarstwo rzuciłem... powróciłem do Warny; u konsula na służbę stanąć chciałem, alem się do niego dostać nie mógł...

Wlóczyłem się po mieście dni kilka i dowiedziałem się, że książki są w Ruszczuku.

— Być muszą i w Warnie, nietylko u konsula— wtrącił Stojan...

— Może...— odparł chłopak— alem ja w Warnie jeść już nie miał co... liczyłem na służbę u konsula, zawiodłem się, głód mi się czuć dawał.

— Służby innej znaleźć nie mogłeś?

— Trafiała mi się niejedna, ale... bez książek.

— Tak ci o książki chodziło!...

— A tak— odpowiedział.— We dnie mi w oczach stały, po nocach się śniły... Wydawało mi się, że umrę, jeżeli do nich nie zajrzę...

— Zkądże ci się to wzięło?

— Ludzie powiadają, że z książek dowiedzieć się można o wszystkim.

— Hm... — mruknął Stojan i zapytał: — Jakże ci Ruszczuk wskazano?

— Chłopiec jeden powiedział mi, że znajduje się tam czytelnia, a w czytelnii książki.

— Więc?... — zapytał Stojan zaciekawiony.

— No cóż... Poszedłem z Warny do Ruszczuku...

— Piechotę?

— A no... Przy sobie nie miałem pariczki jednej, ażeby *żelaznicę* (kolej żelazną) opłacić... Szedłem dni cztery o chlebie proszonym... i zaszedłem... Pytałem o czytelnię, dopytałem się, i Bogu dzięki trafił się abadżij, co mnie na *cziraka* (terminatora) przyjął... Siedzę u niego i robię tydzień cały, a w sobotę do czytelni idę i mam na czytanie dzień cały niedziel-

ny i dwie noce... Czytam, co jest bułgarskiego, a chciałbym jeszcze i to, co po francusku, czytać...

— Chcesz się uczyć, *momcze*? — zapytał go Stojan.

— A!...—odpowiedział z akcentem, oznaczającym pragnienie gorące. \*)

— Chcesz, będę ci pokazywał, radził i książki dawał?

— Nikoła mu w oczy z wyrazem wdzięczności głębokiej spojrział i odsunął się trochę, celem zrobienia miejsca Stojanowi, który obok niego usiadł i wtajemniczać go jął w wymawianie francuskie. Lekcja ta trwała jakie pół godziny i zakończyła się rozmową:

— Czemuż to naukę od języka francuskiego zaczynasz?—zagadnął Stojan.

— Dlatego, że słyszałem, że w języku francuskim jest książek najwięcej.

— Chceszli się nauczyć czytania dla przyjemności tylko, jakie w niem znajdujesz?

— A! nie... — odparł.

— Dlaczegoż przeto?

— W książkach znajdzie się może sposób jaki...

— Na co?

— Na to, żeby się z *memlekielu* naszego pozbyć Turczyzna.

— Ty myślisz o tem?!—podchwycił Stojan z silnym zdziwienia akcentem.

---

\*) Owczarz ów nie jest postacią zmyśloną.



— Czemużbym myśleć nie miał? Słyszałem, że są księgi takie, w których się znajdują zaklęcia na wszystko... W tych, które czytałem, zaklęć nie znalazłem... A zatem... szukać chcę.

Stojan milczał, zamyslił się i odrzekł po chwili:

— Zaklęcia znajdują się w naukach, dających człowiekowi w ręce sposoby...

— W naukach... Ja umiem...

— Co?

— A no... czytam i piszę po bułgarsku, gdy się przeto nauczę jeszcze i po francusku...

— Nie koniec na tem—przerwał Stojan.— W języku każdym, a jest ich mnóstwo w świecie, nauki szukać potrzeba.

— Cóż to jest... nauka?

Stojan wymienił mu przedmiotów kilka i dał o nich definicyę ogólnikową. Nikoła się mu w oczy wpatrzył.

— Ucz mnie... — odezwał się po chwili.

— Dobrze — Stojan na to.— Czy ci jednak czasu starczy?

— Co sobota wieczorem pokaż mi tyle, ażebym miał do czynienia na tydzień cały.

— Nie przeszkadza ci esnaf?...

— Coby przeszkadzać miał? Siedzę, szyję i myślę sobie; gdy zaś nie szyję, zaglądam do tego, com napisał i znów o czem myśleć mam...

— Dobrze — powtórzył Stojan.

Z chwilą tą Sojan znalazł zajęcie, które go interesowało żywo. Owczarek ów odsłonił przed nim

świat, niesłychanie ciekawy, a znany mu jeno powierzchownie, pomimo, że w mehanie ojcowskiej miał z nim styczność bezpośrednią. Nie domyślał się, że w świecie krążyły prądy tego rodzaju, jakie Nikoła zdradził. Chęć pozbycia się z kraju Turczyzna tłómaczyła się jeszcze. Pozbyła się go ze strony jednej Serbia, pozbyła się go ze strony drugiej Rumunia; toczyły się o to wojny; krążyły po kraju wśród ludu gaudania, szepty, przepowiednie; zamach desperacki handzi Dimitra (1868) przyczynił się także niemało do poruszenia umysłów: wszystko to atoli nie tłómaczyło takich, jak Nikoła, objawów. Zkąd się to wzięło?

Uczeń z Nikoły był bardzo pojętny; w lot chwycił, kombinował i zapamiętywał. Dowody na to miał Stojan na lekcyi każdej. Opowiedział mu układ świata, pokazał mapę i on to sobie odrazu przyswoił, tak, że następnie geografii uczył się już sam, z ciekawością wielką rozpatrując się w kierunkach rzek i gór, w zarysach lądów i mórz i w granicach państw. Tak samo poszło z arytmetyką. Zdawało się, jakby w głowie człowieka tego złożony był bezładnie zapas różnych wiadomości, które tylko porządkować należało. W ciągu półrocznego ćwiczenia się w rachunkach liczb przeszedł ułamki proste i dziesiętne, stosunki i proporcye, regułę trzech, i Stojan przystąpić z nim mógł do algebry i geometryi. Najbardziej zajmowała go historia, którą pożerał. W języku francuskim czynił postępy takie, że pojął wymowę, nauczył się mnóstwa słów i powziął wyobrażenie o gramatyce. Soboty pewnej improwizowany nauczyciel przyszedł i zastał ucznia, rozpromienionego uradowaniem wielkiem.

— Cóż to się stało?

— Porzuciłem mego abadzija.

— No? Cieszy cię to?

— Jakże cieszyć nie ma, kiedy się dostał do tego „talie“, co z Paryża przyjechał, po francusku szyld sobie wypisał i po francusku gada.

Uradowania powód był słuszny z dwóch mianowicie względów: najprzód dlatego, że Nikoła z posady bezpłatnej przechodził na płatną, a powtóre dlatego, że obok sposobności osłuchiwania się w języku którego nauczyć się pragnął, zyskiwał jeszcze czasu więcej dla siebie. U krawca Bulgara dniował i nocował, u Francuza na noc odchodził. Opowiedział o tem Stojanowi.

— Więc mieszkanieś sobie znalazł?—zapytał ten ostatni.

— Nie znalazłem i chcę właśnie ciebie prosić.

— Żebyś z tobą mieszkanie podzielił? I owszem—podechwycił.

— Nie — odparł. — Niechby mi tu w czytelnicy nocować pozwolono... Przecież mi Marko pozwala pozostawać z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek.

Marko było to imię dozorczy.

— Pomów z nim.

— Mówiłem... nie może... Powiadał, że hadzi Christo głowęby mu zmył, gdyby się dowiedział, że na te dwie nocy w tygodniu daje mi nocleg.

— Więc ja z hadzi Christem pomówię...

— Zlituj się—głosem prośby odezwał się Nikoła.

Hadzi Christo, który pełnił funkcję prezesa w radzie, zawiadującej czytelnią, miał w tem interes własny, ażeby Stojanowi nie odmawiać. Chodziło zresztą o rzecz małej wagi, która nie była nawet pogwałceniem regulaminu, albowiem w regulaminie artykuł żaden nie zabraniał udzielania noclegów ludziom, coby o to prosili. Czego się nie zabrania, na to pozwolić można. Z tego wychodząc punktu, hadzi Christo upoważnił Stojana do oznajmienia Markowi że Nikola jest nocleżaninem czytelnianym pod warunkiem, ażeby każdego rana przed odejściem izbę zamiótł. W sposób ten zyskała czytelnia, zyskał i Nikola. Korzyść, jaką osiągnął ten ostatni, była ogromną. Zajęcia jego naukowe uregulowały się. Codziennie od zachodu słońca do północy uczył się i nikt mu nie przeszkadzał; w Ruszczuku bowiem, pomimo, że w nim wiał wietrzyk europejski, panowała reguła turecka, zakazująca mieszkańcom chodzenia po mieście, skoro zmrok wieczorny przejdzie w ciemność nocną. Z chwilą tą ruch wszelaki ustawał, czytelnia się wypróżniała i eks-owczarek miał swobodę zupełną czytać, pisać, na głos nawet ustępy powtarzać. Poświęcał na to przecięciowo po godzin trzy.

Ile to człowiek nauczyć się może, ucząc się—pilnie *nb.* — codziennie po trzy godziny!

Korzystał też. Że zaś nie była to nauka oderwana, że wplatała się ona niejako w życie bieżące z jednej strony przez obcowanie z ludźmi, z drugiej przez śledzenie zapomocą dzienników rozwoju wypadków, dawała przeto w rezultacie ustawiczne nabywanych wiadomości do życia stosowanie.

Wiadomości, jakich Nikoła nabywał, nie przekraczały zakresu elementarnych, ale uzupełniały i wykończyły się tem właśnie stosowaniem, które je niejako ożywiało. To je mocno, że się tak wyrazimy, subiektywowało. Nikoła wszystko, co w postaci zdobyczy naukowej do umysłu jego wpływało, meł na młyn bułgarski. Ztąd urabiał się w duszy jego, rozwijał i potęgował ów patryotyzm rozżalenia, właściwy ludom w takim, jak Bułgarya około roku 1870 znajdującym się położeniu, co to gotów jest wiązać się ze wszystkimi zwierzchniczego państwa wrogami i nawet siebie spalić, byle tym, którym położenie to zawdzięcza, szkodzić. Do tego doprowadza logika ucisku. Poczęła się ona objawiać w czynach, skoro wśród Bułgarów świtać poczęła świadomość stosunku ich do Turcyi. ikoła był objawu tego świadectwem.

Rychło on w czytelni za kulisy zajrzał. Na stole leżały dzienniki, w szafach spoczywały książki przez cenzurę turecką aprobowane. Z po za nich atoli wysuwały się i krążyły dzienniki i książki rosyjskie, serbskie, bułgarskie, te ostatnie w Bukareszcie lub w Braile publikowane, które lojalni nawet czytelnicy z ciekawością czytali. Zkąd się one brały? Wzdłuż Dunaju czuwały warty tureckie i nikt, co się paszportem wykazać nie był w stanie i rewizyi nie poddał, „bez straty życia i swobody nie mógł przestąpić zakazanej wody.“ A przecież dzienniki i książki napływały, napływały.

#### IV.

Jak do czytelnicy ruszczuckiej dostawały się dzienniki i książki zabronione, Stojan nie wiedział, Nikola nie wiedział i Marko nie wiedział. Ten ostatni wystawiał się z racji tej na ostre ze strony hadzi Christa wyrzuty.

— Zkąd to się bierze? — zapytywał hadzi, gdy się do rąk jego egzemplarz podejrzany dostawał.

— Czy ja wiem! — odpowiadał dozorca.

— Dozoruj pilnie.

— Jaż dozoruję... każdy kawałek, co z poczty przychodzi, przeglądam i stemplom się przypatruję.

— I nic takiego poczta nie przynosi?

— Nic.

— Ktoś podrzuca — rzekł hadzi Christa tonem domysłu. — Baczże i złap... a ja się z nim rozprawię... Gdyby się, broń Boże! basza dowiedział, na nas wszystkich spadłaby bieda wielka, a najprzód czytelnicy nam zamknięto.

To ostatnie było dla Marka wielką do pilności w dozorowaniu podniętą. Pilność atoli nie przydawała się na nic. Cóż bowiem? Ludzie się schodzili, zasiadali, kurzyli, gawędy toczyli; byłże sposób dopatrzenia, czy który z nich nie przyniósł gazetki albo książeczki jakiej w zanadrzu i nie wsunął jej pomiędzy te, co na stole leżały? Nadaremnie Marko godzinami całemi czatował. Nikogo na uczynku gorą-

cym pojmać nie był w stanie. Obecność „kawałka“ zdradzała się po zajęciu, z jakim czytany był. Każdy w milczeniu oczami druk przebiegał, objawiając uczucia, jakie w nim czytanie rozbudzało, zmianami, które się w oczach i na obliczu odbijały. Jeden się uśmiechał, inny marszczył, inny znów wybuchał i wyrazem klątwy z ust ciskał. Gazetka szła w obieg i Marko znajdował ją na stole, gdy się izba z czytelników wypróżniła. Do kogo się tu było czepiać? Niszczył więc *corpus delicti* i milczał, a hadzi Christa powtarzał mu od czasu do czasu ze zwiększającym się naciskiem:

— Bacz, czuwaj, bo bieda będzie...

Marko zdecydował się wreszcie wezwać pomocy do śledzenia winowajcy czy winowajców i w celu tym, zachowawszy jeden z druków podejrzanych, zaczął razu pewnego Nikołą, gdy ten wieczorem przyszedł.

— Nie wiesz, co się tu dzieje? — przemówił do niego.

— A co?

— Czytelnię nam zamknąć mogą.

— Co ty powiadasz?

— Byłoby to nieszczęście wielkie.

— Prawda.

— Owóż potrzeba nam nieszczęście to odwrócić.

— Jakim sposobem?—zapytał Nikoła.

— Widzisz!...—odrzekł na to Marko, pokazując mu gazetkę, którą umyślnie na pokaz zachował.

Nikoła, przychodząc późno, nie spotykał się dotychczas z pismami tego rodzaju. Spotkanie się przeto wywarło na nim wrażenie silne. Pochłoniął gazetkę haustem jednym i zapytał:

— Czytałeś to, Marku?

— Ja... nie... Ja nie czytuję.

— Jakto?

— No, tak... Robię, co do mnie należy, czytanie nie należy do mnie.

— Przez ciekawość bodaj...

— Ciekawość nie wchodzi do esnafu mego...

Rzecz moja—pilnować, owóz pilnuję i mimo to, wciśkają się pisma, które w czytelnii być nie powinny.

— Na cóż czytelnia?

— Na pisma stemplowane, te zaś—wskazał oczami na trzymaną przez Nikołą w ręku gazetkę — ktoś cichaczem podrzuca... Chodzi o to, ażeby winowajcę złapać... Ty co niedzieli każdej siadujesz przy stole dniami całymi, mógłbyś mi w tem dopomódz.

— Winowajcę złapać?...—zapytał Nikoła.

— No, tak... Wypatrz jeno kto podrzuca i mnie powiedz... więcej nie potrzeba...

— Cóż będzie z tym, co podrzuca?

— Rozprawi się z nim hadzi Christo... Trzeba, żeby nam Turczyn czytelnii nie zamknął, byłoby bowiem nieszczęście...

— Prawda... — odrzekł Nikoła — ale byłoby to nieszczęście, gdyby pism takich nie czytano...

Marko tego nie zrozumiał. Należał on do tego ludzi rodzaju, który był dosyć w Bulgaryi pospolitym, co w czytaniu upatrywał sztukę natury czysto mechanicznej. Czytał dlatego, że litery znał i składać je umiał.

— Posłuchaj jeno—rzekł Nikoła.



I odczytał ustęp z ogniem skreślony, a w którym autor dowodził niesłuszności panowania tureckiego w Bułgarii.

— Rozumiesz?

— A no... tak—odpowiedział Marko.

— Wiedziałeś o tem?

— Na Boga... nie wiedziałem.

— Byłbyś się nie dowiedział, gdybym ci był nie przeczytał.

— No, tak...

— W czytelni przeto takie, jak te, pisma, na swoim są miejscu... Co?...

— Tak... zdaje się... Ale hadzi Christo...

— Tu nie o hadzi Christa, ale o baszę chodzi...

— Tak urządzić należy, ażeby się basza nie dowiedział — to znaczy, ażeby pismo to nie zostało dostrzeżone przez *czaplina* takiego, coby baszy doniósł..

— Prawda.

— Zachodzą tu tacy?

— Zachodzą... — odpowiedział i wymienił imion parę.

— Oto i dobrze... Powiedz hadzi Christowi, że to oni pisma podrzucają.

— No... jakże to?... — odparł Marko tonem, w którym rodzaj protestu brzmiał.

— Nie mów tego na pewne, ale, że tak się tobie zdaje... bo też — dodał — to być może... Pisma podrzucają na to umyślnie, ażeby czytelnię za co zamknąć było.

— Tak może i jest w rzeczy samej... — rzekł Marko na pół przekonany.

— Z pewnością.

— Nie inaczej...

Wywód logiczny, jaki z nasuniętego przez Niko-  
łę punktu w umyśle swoim wysnuł, przekonał go, że  
podrzucanie pism zabronionych odbywa się przez zau-  
szników baszy. Jął im wymyślać od czapkinów i za  
pierwszem z hadzi spotkaniem podszeptał mu, że pis-  
ma podrzucane są przez tego a tego.

— A?... — odezwał się poważny mąż z tym ak-  
centem, z jakim sobie człek myśl pewną w umyśle  
karbuje—hm?...

— Oni to robią na to, ażeby nam czytelnię zam-  
knięto...—tlómaczył Marko.

— Wieszże jak zaradzić temu?

— Chyba ich nie puszczać...

— Nie. To się na nic nie zda, ale potrzeba,  
ażeby pisma te znikaly tak, żeby ich zaptije nie zna-  
leżli, gdyby kiedy rewizyę w czytelni zarządzili. Ro-  
zumiesz?...

— Rozumiem — odpowiedział.

— Niech znikają pocichu... bez hałasu...

— Jaż to właśnie dotychczas robiłem... Zja-  
wiają się one zazwyczaj w niedzielę, owóz ja w nie-  
dziele wieczorem, skoro je znalazłem, wnet pa-  
liłem.

— Nie należy wieczora doczekiwać... Jak tyl-  
ko się gazeta taka na stole pokaże, zabieraj ją  
i w ogień!...

— A możeby... — zaczął Marko.

— Co?

— Zrobić tak, ażeby jej w izbie nie było?...

— Jak tam sobie chcesz, byleby z tego nie wyszedł *kałabałyk* (kłopot) jaki...

Rozporządzenie to stanowiło dla Marka rodzaj *carte-blanche* do przedsięwzięcia środków ostrożności. Z czystym przeto sumieniem zwrócił się do Nikoły, Nikola zaś nie miał nic pilniejszego, jak w sprawie tej do tajemnicy dopuścić Stojana.

Stojan czytywał pisma zabronione; że się zaś wychowywał w Bukareszcie, gdzie one swobodnie krążyły, nie doznawał przy czytaniu tych wrażeń, co Nikola.

Ten ostatni wiadomości o czytaniu pierwszym udzielił mu z uniesieniem:

Jakże to piękne!... jaka w tem prawda!...

Stojan nie przeczył, sam bowiem w odbijanych w Bukareszcie lub Braile frazesach piękno widział i prawdę uznawał; traktował tylko je tak, jak śpiewy na operze traktuje człowiek, co się ich nasłuchał dowoli. Nie zachwycił się niemi, pomimo, że Nikoły zdanie podzielał w zupełności.

— O, tak... — mówił — piękne to i prawdziwe..

— I można niszczyć rzeczy takie?

— Alboż co?

— Hadzi Christo nakazał je Markowi niszczyć. Jabym to w ramy oprawiał, i tych, co podrzucają, zło-cił...

— Któż podrzuca?

— Niewiadomo... Musi to być jakiś junak prawy...

Stojana to uderzyło. Domyślił się, że się coś knuje i zbudziła się w nim ta ochota, której lat temu

Kilka z powodu nieletności zadość uczynić nie mógł. Domyślił się on, że się pisma dostają do Ruszczuku drogą kontrabandy, praktykowanej nie przez kontrabandzistów handlowych. Zdjęła go ochota wyśledzenia knowań nie dla zaspokojenia ciekawości, ale celem wzięcia w nich udziału czynnego.

Ochota taż sama objawiła się i w Nikole, ale inaczej — że tak powiemy — zabarwiona. Nie myślał on o braniu udziału, lecz o wyrażeniu czci swojej, sprawcy, który w wyobrażeniu jego przedstawiał się pod postacią człowieka niepospolitego. Wyobrażał sobie bohatera w osobie tego, co druki zabronione podrzuca, bohatera nie dlatego tylko, że podrzuca ale, że po nie za Dunaj chodzi, myśląc czujność wart tureckich. Jak on to robi? Wystawiać się musi na niebezpieczeństwo, przeciw któremu uzbraja się w nóż, pistolety, w strzelbę i zapewne zdarza się mu potykać. Nikola chciałby się o tem wszystkiem dowiedzieć, ażeby bohaterowi temu podziwienie swoje wyrazić. Przecież czytał o Scewoli. W myśli swojej przyrównywał go do tego Rzymianina, co rękę swoją spalił, będąc przez nieprzyjaciół pojmanym. Z pewnością tajemniczy ów sprawca zrobiłby toż samo.

Z dwóch tedy powodów Stojan i Nikola tę sprawę śledzić poczęli. Śledzenie ciągnęło się niedługo. W dni kilka później już go mieli i tak się zdarzyło, że odkrycie nastąpiło w jednej i tejże samej chwili. Ludzie się do czytelnicy schodzili; oni dwaj, jeden obok drugiego, siedzieli i, oczy na każdego z nowo wchodzących zwracając, dostrzegli, jak jeden z nich

wszedł, z zanadruza druk wyjął i pod leżące na stole gazety wsunął, następnie zwrócił się i jaknajdalej od miejsca tego miejsce zajął. Nikola Stojana łokciem trącił i do ucha mu szepnął:

— Tegom się nie spodziewał.

Stojan ramionami ruszył.

Nikola nie spodziewał się, ażeby sprawcą był człek wcale niepokazny, na postaci swojej najmniejszej oznaki heroizmu nie noszący, cichy, potulny, do tego kulawy, niejaki Stanko Radow, który przy szkole miejscowej pełnił funkcyę nauczyciela w klasach niższych. On to dopuszczał się występku, który Nikołą zachwycał. Wyobraźnia jego poniosła szwanku trochę. Pomyślał sobie:

— Przecież to nie on chyba za Dunaj chodzi i z Turkami się orężem potyka... Przecież onby ręki w ogniu nie spalił...

Do ucha więc Stojanowi szepnął powtórnie:

— Tegom się po Stanku nie spodziewał.

-- Czemu? — zapytał Stojan.

— Człowiek taki marny...

— W marnem cieie piękna dusza.

— Uhm... — odrzekł. — To być może...

Wnet Stanko w oczach jego wypiękniał. Żywa Nikoły imaginacya w jednym okamgnieniu w umyśle jego przedmioty przerabiała wedle akcentu, jaki im z góry nadawał. Potulny nauczyciel zajaśniał w oczach jego blaskiem heroizmu. Stanko, niczego się nie domyślając, czytał dzienniki, z podobna niekiedy okiem po obecnych prowadził i po chwili wyszedł.

— Idźmy za nim... — szepnął Nikola do Stojana.

Wstali i wnet go na ulicy dopędzili, co im z tem większą przyszło łatwością, że się on zgola nie spieszył.

Stojan go pozdrowił. Nikola odrazu zaczął:

— Tyś wielki człowiek, Stanku...

— Ja?...—zapytał ten ostatni ze zdziwieniem.

— Tak... ty... Za Dunaj chodzisz...

— Za Dunajem noga moja nigdy nie była.

— Ztamtąd pisma, co w czytelni podrzucasz, przynosisz...

Słowa te zmieszały Stanka. Spojrzał na Nikołę i zapytał:

— Widziałeś?

— Widzieliśmy obaj.

— No... to więcej już podrzucać nie będę.

Wielki człowiek w chwili jednej zmalął w oczach Nikoły. Stojan jednak, który się na rzecz tę zapamiętywał inaczej, odpowiedział:

— Podpatrzyliśmy cię nie na to, ażebyś zaprzestał czynić, co czynisz, ale ażeby tobie pomagać... Widzisz, zdradziłeś się, boś sam... Będziemy ciebie osłaniać i w potrzebie pomagali tobie...

— Będziemy tobie pomagali!... zawołał Nikola w uniesieniu.

— Cicho...—odezwał się Stanko. — Nie krzycz na ulicy...

— Psss...—syknął Nikola i głowę sobie dłonią zasłonił.

— Pójdźcie do mnie—rzekł Stojan.—Mam izbę osobną... pomówimy swobodnie...

Stojan mieszkał u hadzi Christa w domu, który na przedmieściu bułgarskiem zajmował poleć znaczną, przylegał bowiem do ogrodu obszernego, utrzymanego starannie. Ogród zapełniały drzewa fruktowe w gatunkach najlepszych. Wiśnie, śliwki, jabłka, gruszki dojrzywały tam takie, jakimi by się delectowały sułtani; dojrzywały przytem migdały i granaty. Drzewa rosły w nieładzie, tworząc gaj cienisty, poprzedzony miejscem otwartem, na którym widzieć się dawały pstrzące murawę grządki, kwiatami zasadzone. Pełno tam było kwiatów i klombów różanych. Róża w Bułgarii jest niejako w ojczyźnie swojej pielęgnowana i szanowana bardziej, aniżeli kwiaty inne,—stanowi bowiem jedno z bogactw krajowych. Pomiędzy drzewami i grządkami płątały się ścieżki, nogami ludzkimi wydeptane, a doprowadzające do altan, osłoniętych winogradem.

Jedna z altan znajdowała się u wnijscia do ogrodu, inna w głębi. Drzewa, altany i krzewy maskowały sobą przejścia tajemne i skrytki, w które Bułgarowie za czasów panowania tureckiego zaoptowały mieszkania swoje. Do ogrodu od ulicy przylegał dom piętrowy, drewniany, mający wejście od podwórza, otoczonego murem wysokim i zabudowanego różnemi śpichrzami, składami, szopami, stajniami i stajenkami, w których się mieścili konie, krowy i wieprze,—te ostatnie ulokowane tak, ażeby się odrazu w oczy nie rzucały. W jednym z kątów

podwórza widzieć się dawała gorzelnia, służąca dla pędzenia na alembiku raki.

Od podwórza wchodziło się do domu. Parter domu zajmowały kuchnia i spiżarnia. Część mieszkalna na piętrze składała się z dziesiątka izb, których rozkład przedstawiał się pod postacią labiryntu, dostępnego dla wtajemniczonych jeno. W izbach ściany wewnętrzne wszystkie były szafami i drzwiami od szaf, jakoteż drzwiami, łączące izbę z izbą, rozpoznać się nie dawały. Przybysz, tajemnic rozkładu nie znający, dostawał się schodami głównymi do sieni, z tej zaś do obszernej o sześciu oknach komnaty, zwanej *musafirłykiem* (izbą gościnną). W komnacie tej, kołniercem zasłanej, przyjmowano gości. Umeblowanie jej z sof wyłącznie się składało; sofy, miękkie i szerokie, okrywała tkanina jedwabna; okna osłaniały firanki drogie, ściany, a raczej drzwiami od szaf, zdobiło rzeźbienie misterne. We wszystkim tem w oczy się rzucała wielka właściciela domu zamożność.

Stojan towarzyszków swoich nie prowadził do musafirłyku. Na podwórzec z niemi wszedłszy, zatrzymał się, jakby się zawahał i rzekł sam do siebie:

— Ściany mają uszy.

Ściany mają uszy, okna zaś mają oczy, co się pokazało z tego, że kiedy się obejrzał, jakby czego lub kogo szukał, w jednym z wychodzących na podwórze okien spostrzegł spoglądającą w dół postać niewieścią. Stojan ku niej głową na pozdrowienie skinął; ona się uśmiechnęła, — uśmiechnęła się tym uśmiechem, z którego wywiązuje się potęga pociągu magnetycznego, następstwo onego bowiem w ten wy-



raziło się sposób, że równie Stanko jak Nikoła, wpatrzyli się w niewiasty tej oblicze i gęby pootwierali. Potulny mistrz abecadła i ognisty eks-owczarek, a obecnie krawiec, doznali czegoś nakształt olśnienia, tem silniejszego, że niespodziewanego. Spadło to na nich nagle. Wpatrzyli się przeto i rzecz wątpliwa, ażali słyszeli zapytanie, jakie do niewiasty wystosował Stojan:

— Do ogrodu — odezwał się, palcem wskazując—można?...

— No... można — odpowiedział głosik, który w uszach Stanka i Nikoły zadzwonił nie wyrazami, ale cudną jakąś muzyką.

— Niema tam nikogo?—zapytał Stojan jeszcze.

— Nikogo... zdaje się...—była odpowiedź, rzucana, niby druga strofa.

— Chodźmy—rzekł Stojan do towarzyszków.

Poszli. U wnijscia do ogrodu Nikoła się obejrzał, wzrok ku oknu skierował; nic już tam z wyjątkiem ram nie zobaczył i:

— Oj, Stojanie... Stojanie... — westchnął.

— Co?—zapytał zainteresowany.

— Jam nie wiedział, że to takie na świecie bywają... rzeczy...

— Co za rzeczy?

— A no... Ale... Co tam!... — wybąkał.

Chłopak nie: „rzeczy“ powiedzieć chciał, ale „dziewczęta“; w chwili jednak, kiedy wyraz ten wypowiedzieć miał, przyszedł mu skrupuł jakiś i zamiast

„dziewczęta“ powiedział: „rzeczy.“ Stojan zaprowadził gości swoich do altany i, tam usiadłszy, ofiarował im najprzód tytoń i papierki do papierosów, a następnie w taki przemówił sposób:

— Ot tu jesteśmy swobodni... Cóż, Stanku?

— A cóż... — odpowiedział zagabnięty, ramionami wzruszając.

— Będziesz miał w nas pomocników.

— Wolałbym—odrzekł—ażebyście wyręczyicielami moimi byli.

— Jakże to?

— A to tak: zabierajcie, noście, podrzucajcie, bylebym ja nie wiedział o niczem.

... Dobrze—Stojan na to.

— Kiedy dobrze, to i dosyć.

— Wskażże nam, gdzie zabierać potrzeba.

— A...—odparł. — Co do tego, najprzód się dowiedzieć i zapytać muszę... Nie odemnie to zależy.

— Od kogoż?

— Tego mi właśnie powiedzieć niewolno.

— Cóż tam... — zaczął Stojan tonem perswazyi.

— A nie...—przerwał Stanko—ani wam, ani nikomu, ani po przyjaźni, ani chociażby mnie Turcy na gorących węglach piekli... Zobowiązałem się, a wiecie, obowiązek święta rzecz...

Mówił to z takim spokojem, jakby zgola nie chodziło o pieczenie na węglach, a tak naturalnie, jakby położenie na węglach rozpalonych różniło się od siedzenia w otulonej bluszczem altanie, ale—niewiele.

— Zobowiązałem się... — rzekł.

— Przysięgałeś?—zapytał Stojan.

— Nie... Zobowiązałem się i tyle... Pytano mnie: „Nie powiesz?” — odpowiedziałem: „Nie powiem“... i ot... Ale...—zaczął.

Przerwał sobie jednak, w chwili tej bowiem ukazała się w altanie dziewczyna, ta sama, co się była ukazała w oknie. Weszła, niosąc w rękach tacę, a na tacy czaszki, kubki i miseczki kryształowe. Czaszki zawierały konfitury, kubki wodę, na miseczkach leżały łyżeczki srebrne. Weszła, do nauczyciela się zwróciła i tacę, mu podsuwając, rzekła:

— *Poftim...*

Wyraz ten, od Rumunów przyjęty, tłumaczy się polskiem: „proszę“, francuskim „*s'il vous plaît*“, węgierskiem: „*teszek*“ i oznacza wezwanie do spożycia darów bożych. Wezwanie, przez dziewczynę wygłoszone, to miało następstwo, że nauczyciel abecadła wziął konfitury na koniuszek łyżeczki, do ust włożył, wodą popił i kubek na tacy postawił. Poszło to gładko. Dziewczyna się do Nikoły zwróciła. Ten także łyżeczkę ujął, lecz, włożywszy ją do czaszki z konfiturą, wyjąć nie mógł. Podnosił, i czaszka się wraz z łyżeczką podnosiła. Spróbował raz, spróbował po raz drugi, za trzecim razem, chcąc zapewne skończyć z tem nareszcie, zabrał zapomocą łyżeczki z tacy-czaszkę i ta, od łyżeczki się oderwawszy, na ziemię upadła. Rzecz prosta, roztlukła się w drobne kawałki; szkło się rozprysło; pozostała jeno spora białka galka szербetu, na ziemi leżącego.

Nikoła, wypadku tego sprawca, osłupiał zrazu; następnie, wydawszy z piersi jęk głuchy, poskoczył, szerbet oburącz w dłonie pochwycił i nie wiedział, co z fantem tym począć.

— *Zarar jok* (nie to nie szkodzi)—głosem pocieszającym odezwała się dziewczyna, stojąc przed nim i podając mu *śladko*.—*Poftim...*

Wzywała go do skosztowania konfitury innej i napicia się wody, on jednak wezwaniu uczynić za-  
dość nie mógł dla dwóch powodów, raz dlatego, iż był okrutnie zmieszany, powtóre dlatego, że w rękach szerbet trzymał.

— *Zarar jok*—pocieszała go dziewczyna.

Słaba to była pociecha, do przekonania jego nie trafiała.

— Rzuć to—odezwał się Stojan.

Nie decydował się usłuchać przyjaciela, i wydało się mu, że uczyni najlepiej, jeżeli gałkę ową *śladko* na tacy złoży. Pomysł ten uskutečnił niezwłocznie, a tak rychło, że dziewczyna tacy unknąć nie zdołała. Gałka *śladka* znalazła się na miejscu, na którym chwilę przedtem w czaszce była w całości, z wyjątkiem tych cząstek, co do dłoni Nikoły przylgnęły. Dziewczyna się uśmiechnęła i znów *śladko* podając, przemówiła:

— *Poftim...*

— Nie trzeba już chyba...—odrzekł Nikoła rezolutnie i jał oblizywać oblepły na dłoniach szerbet; czyniąc to, dodał:—Wody się jeno napiję; co się zaś czaszki tyczy... nie troszcz się, to rzecz moja...

Wyrazy ostatnie poparł giestem odpowiednim, oznaczającym, że szkodę bierze na odpowiedzialność swoją.

Dłonie oblizal, wody się haustem długim napił i rzekł sam do siebie:

— Otożem się spisał!.. Ale lichoz wiedziało, że jest takie sładko, w którym łyżka grzęźnie... No... na drugi raz nauka...

Dziewczyna konfitury i wodę podała Stojanowi, który się z zadania wywiązał najlepiej.

— Kawy?...—zapytała...

— Jeżeli wola—odpowiedział Stojan.

Dziewczyna odeszła. Po odejściu jej Nikoła z głębi piersi westchnął i zaintonował:

— Aman... aman... Otożem się, bracia moi mili, z tą dziewczyną spisał...

— Ij... co to znaczy...—odrzekł Stojan!

— Co ona sobie o mnie myśli?

— A co cię myślenie jej obchodzi!

— Taka urodziwa!... taka piękna!..

W rzeczy samej dziewczyna ta należała do tego ziemianek rodzaju, który stworzonym jest na to, ażeby się nim ludzie zachwycali. Bulgarki piękne są: onaby wśród najpiękniejszych nie gasła. Nic w niej nie było do zganienia: ani fiołkowej barwy oczy, ani o jedwabistym połysku płowe, grube warkocze, ani rysy oblicza, ani kształty postaci, zarysowujące się pod obsłonami odzieży tureckiej, nieco zmodyfikowanej. Miała na sobie faldziste, z lekkiej, jedwabnej w prążki różnobarwne materyi, szalwary; biust i ki-bić okrywał chałacik, sznurem jedwabnym przepasa-

ny. Pod osłonami temi żaden ciała jej przegub nie ginął, żadna wypukłość oku się nie wykradała. Pod jedwabiem uwydatniały się kształty posągowe, widziało się wykończoność onych klasyczną.

— Taka piękna! — powtórzył Nikola, cmoknął i, dłonie sobie oblizując, dodał: — Takiej w życiu nie oglądałem jeszcze... A!... Co ona?

— Momica — odrzekł Stojan.

— Czyja?

— Hadzi Christa.

— No... no... — westchnął. — A jak jej na imię?

— Ilenka.

— Toćby się na nią sam sułtan, gdyby ją zobaczył, zlakomił.

— Pewnie — wtrącił Stanko.

— Ależ piękna! No, ale niechże ona czaszy nie żaluje. To nie jej szkoda.

W materji tej coś jeszcze dodać chciał, lecz Stanko w mowę mu wpadł.

— Otóż to tak — zaczął — powiem, że wy na siebie wszystko bierzecie. I owszem. Jam się tam w to wtrącać nie chciał, ale nie było pod ręką kogo innego, musiałem. Dla memleketu mego gotów jestem zrobić wszystko, wolałbym jednak, żeby robił kto inny, bo mi głowa moja na karku miła. Więc — zapytał — wyście gotowi głowy nadstawiać?

— A no — odrzekł Stojan. — Ja moją nadstawić gotów.

— I ja moją — dodał Nikola.

— Więc ja o was powiem i znać wam dam, a tymczasem będę któremu z was dawał te pisma, co do czytelnici przeznaczony.

— Dawaj mnie—podchwycił Nikoła.

— Mnie wszystko jedno.

— Będę do ciebie wieczorem zachodził.

— Dwa razy na tydzień: we środę i w sobotę.

Rozumiesz?

— Czemubym rozumieć nie miał? Trzeba jeno zapamiętać: środa i sobota—powtórzył sobie.

## V.

Piękność Ilenki możeby wrażenia takiego na Nikoła nie wywarła, gdyby nie wypadek z czaszą kryształową, który mu ją w pamięci zakarbował. Wiadomo, że zdarzenia małe do wielkich niekiedy prowadzą następstw. Następstwo, jakie z wypadku z czaszą wynikło, nie należało do rodzaju wielkich. Piękna dziewczyna wpadła w oko młodemu chłopcu, i to w oko wpadnięcie spotęgowało się wypadkiem.

— Stłukłem czaszę...—powtarzał sobie Nikoła.

— Wyrządziłem jej przykrość... Jej...

— „Jej“ — „ona“; skoro młody człowiek powtarza sobie w myśli zaimek w rodzaju żeńskim, jest to znak, że znajduje się istota owa w sercu jego, jeżeli nie zapanowała, tedy zapanowaniem grozi.

— Ona... ona...

W pracowni krawieckiej, w której ściegi szykował, wciąż i wciąż mu się zaimek ów po głowie kręcił. Chodziło o czaszę. Nikola zarabiał tyle, że mniej więcej w miesiącu każdym zaoszczędzał po ghuruszów dziesięć, to znaczy: po franków dwa. Obliczył kasę swoją. Posiadał franków dwadzieścia parę. Pieniądze te ciułał na to, ażeby sobie sprawić odzież przyzwoitą.

— Eh!... odzież...—powiedział sobie.

Kwestyę odzieży trzeba było na później odłożyć.

Myślał o czaszy. Ta, którą stłukł, w oczach mu stała i był pewien, że w sklepach, handlujących szkłem, znajdzie zupełnie taką samą. O południu krawiec puszczał robotników na godzinę. Nikola skorzystał z chwili swobodnej i udał się do sklepu.

— Macie czaszę na sładko?

Kupiec okiem go zmierzył i zapytał:

— Czy dla ciebie?

— Eh! nie... Stłukłem, odkupić muszę.

— Jaką?...

— No, jaką... Taką piękną...

Kupiec pokazał mu czaszę ze szkła prostego.

— Nie taką—odrzekł.

Pokazywał następnie kolorowe zielone, błękitne, różowe. Nikola dopytywał się o inną.

— Chcesz chyba ze szkła rzniętego albo kryształową!... — odezwał się kupiec zniecierpliwiony trochę.

— Kryształową chyba—odrzekł Nikola.



— A ile masz pieniędzy?...

— Pięćdziesiąt ghuruszów.

— Dostańże jeszcze drugich pięćdziesiąt, wówczas pomówimy.

W paru innych sklepach spotkała go konfuzya podobna. W jednym pokazano mu czaszę, która, jak mu się wydało, była taka jak stłuczona. Zażądano za nią ghuruszów sześćdziesiąt pięć. Kupiec możeby co opuścił, ale Nikola pewnym nie był, czy się od stłuczonej nie różniła. Na kupno przeto zdecydować się nie mógł.

Sprawa ta mocno go zafrasowała i zajęła. Wyrzucił sobie, że szkieł z czaszy stłuczonej nie zabrakł: byłby miał miarę porównania. Chodził więc niby struty i rozmyślał o czaszy stłuczonej i o dziewczyni.

Rozmyślanie takie niebezpieczne jest. Nikola o niebezpieczeństwie nie wiedział, mimo, że się na niem niedzieli najbliższej spostrzedz mógł, kiedy bowiem w czytelnicy siedział, przyszedł Stojan, przysiadł obok niego i, do ucha mu się nachylając, zapytał:

— Byłeś u Stanka?..

— Ach!... — odrzekł. — Zapomniałem.

— No widzisz.

— Nie wiem, co mi się stało... Na wieki zapomniałem

— A toż wczoraj była sobota.

— Tak: sobota, środa... środa, sobota... We środę chodziłem, ale nadaremnie, a o sobocie... zapomniałem... Pójdę dziś wieczorem.

— Czy go zastaniesz?

— Moja wina... Nie rozumiem, jakem zapo-

mieć mógł...—I, głos bardziej jeszcze niższy, zapytał:—Cóż tam Ilenka?

— Co? — odrzekł Stojan, zdziwiony nieco.

— Gniewa się na mnie?

— Za co?

— A za tęż czasę nieszczęsną.

— Ij...—odparł, dłonią zlekka machnąwszy.

Nikoła westchnął i po chwili znów zapytał:

— Czy się z nią widzieć można?

— Czemu nie.

— A no... to dobrze—rzekł Nikoła sam do siebie.

bie.

W chwil kilka później z czytelnicy wysunął i wprost do domu hadzi Christa się udał. Wszedłszy na podwórze, nie wiedział jak poradzić sobie, ażeby z dziewczyną pomówić. Szczęściem zdarzyła się ze służebnic jedna, do niej się przeto z zapytaniem zwrócił, objawiając jej chęć widzenia się z Ilenką.

— Po co? — zapytała służebnica.

— Mam z nią do pomówienia...

— Wedle czego?

— Wedle czaszy kryształowej.

— Idźże tam.—Drzwi mu wskazała.—A ja jej oznajmię, to ona zejdzie.

Izba, do której wszedł, w sofie zaopatrzona, ale ozdób pozbawiona, służyła za musafirlyk dla interesantów niższej sfery, z którymi hadzi Christo sprawy wagi pomniejszej do załatwienia miewał. W niej się i hadzi Christica, t. j. hadzi Christa żona, z przekupnikami i przekupkami umawiała. Możliwoby izbę tę nazwać posłuchalną. Służebnicy wydawało się, że

*Kokonica* — tak Ilenkę służba, naśladowując zwyczaj zadunajski, tytułowała — ma udzielić posłuchania chłopcu ze sklepu szkłem handlującego, i dlatego Nikole izbę tę wskazała.

Nikoła na sofie miejsce zajął i niedługo czekał. Ilenka w chwilę po nim we drzwiach się ukazała, weszła, on się zerwał, ona się z akcentem zapytania, lekko zdziwieniem nacechowanego, przeciągle odezwała:

— Aaa?...

— Przyszedłem... — odrzekł.

— *Dobro doszel* (pozdrawiam ciebie)...

— Ja na minutkę tylko... w potrzebie...

— Jakiej?...

— Oto... widzisz... — bąkać się jął — ta czasza...

— Czasza?... Chcesz chyba mówić o stłuczonej?

— O niej właśnie... Chcę o niej nietylko mówić, ale zapytać ciebie, czy jest od niej para?

— Jest — odrzekła tonem zdziwienia.

— Taka sama?

— Taka sama.

— Widziećbym ją chciał.

Spojrzała na niego z wyrazem zapytania i odrzekła:

— Dobrze... poczekaj *małko* (trochę): przyniosę ci sładko i wodę... zobaczysz...

— Niel... — zawołał Nikoła! rękę wyciągając. — Ja sładka jeść, wody pić nie będę: chcę się jeno czaszy przypatrzeć, ażebym nie kupił innej.

— Tak ci się czasza ta podobała!

— Mnie się podobała nie czasza i nie dlatego kupować chcę.

— Dlaczegoż?

— Żebyś szkody nie miała... Stłukłem, odkupić winieniem.

— Co do głowy ci przyszło! — odparła. — Ot jeszcze.

— Stłukłem...

— Nie ty sam.

— Jakto?

— Do spółki ze mną... Ty i ja złączyliśmy się...

— Ty i ja?...—podchwycił chłopak, jakby uderzony zbiegiem dwóch tych zaimków przed czasownikiem, połączenie oznaczającym.

— A żeby szkodę zrobić,—dokończyła.

— No... nie...—zaprotestował.

— Nie powinienem była ciebie przestrzedz, widząc, jak z łyżeczką razem czaszę podnosisz? Jam nawet więcej, aniżeli ty, winna.

— Eee?...—odrzekł Nikoła tonem niedowierzania. Gadanie... Jam stłukł i jam odsłużyć powinien... tak każe sprawiedliwość.

— Odsłużyć?...—odrzekła dziewczyna tonem poważnym. — Służ ty *na Bołgarska-ta*... dosyć będzie z ciebie...

— Uhl... wykrzyknął Nikoła. — Zkądże tobie przyszło do mnie przemówić w te słowa?

— Stojan nam opowiadał, jaką ty drogą idziesz i zkąd przychodzisz, to ja dlatego myślę, iżbyś nie powinien czaszą sobie głowy zaprzętać... Co czasza w porównaniu z memlekietem!...

— Tak... tak... — powtarzał Nikoła, patrząc na dziewczynę okiem płonącym.

— O czaszy ty zapomnij.

— Zapomnę, o zapomnę, ale... o!...

— Co?..—zapytała spokojnie, podnosząc na nie-  
go oczy.

— Nie zapomnę o tobie...

Dziewczyna rżęsami żrenice sobie zasłoniła,  
przez chwilę wahała się niby, wreszcie odrzekła:

— Wartaż ja więcej, niż czasza, w porównaniu  
z memlekietem?

— Ty?.. w porównaniu z memlekietem?.. Ja nie  
wiem... nie wiem...

— Za memlekiet ty, jeżeliś Bulgarin prawy, od-  
dałbyś życie...

— A za ciebie nie oddałbym, myślisz?... co?...

— Bulgarin tego mówić nie powinien...—odrze-  
kła i ruch ku wyjściu wykonała.

— Poczekaj!..—zawołał Nikoła.

Powstrzymała się i odwróciła.

— O czaszy zapomnę; o tobie zapomnieć będę  
chciał, ale... nie wiem, czy mi się to uda. Będę jednak  
próbował: będę zasłaniał ciebie Bulgaryą... Zoba-  
czymy, czy potrafię... A teraz... ot co... No! — gło-  
wą rzucił i jakby z niej myśli jakie spędzał, — nie...  
Pozostawaj zdrową...

— Odchodź zdrów...—odrzekła Ilenka.

Ilenka wbiegła na piętro i z musafirlyku, z po-  
za firanki okiem ścigała postać Nikoły, który, wy-  
padłszy z podwórza, niby z kąpieli gorącej, szybkim  
szedł krokiem. Coś go pędziło, jak ostroga jeźdźca  
konia pędzi. I niby jeźdźca czuł na grzbiecie, ale  
jeździec ów bez wędzideł go puszczał. Gdyby się mu

na drodze trafił rów szeroki — rówby przesadził, płot by przeskoczył; Turczyn? — Turczynaby wywrócił. Animusz osobliwy pierś mu rozdymał. Na szczęście nie natrafił ani na rów, ani na płot, ani na Turka nawet, — do czytelni wpadł i dopiero po przestąpieniu progu opamiętał się.

— Czegom u licha tak pędził? — sam siebie zapytał.

Szybki chód znać na nim było. Obecni w czytelni ze zdziwieniem na niego patrzyli, zadyszał się bowiem i krew mu policzki oblała.

— Zbiegałeś się — odezwał się człowiek, obok którego miejsce zajął.

— Jam nie biegał — odrzekł.

— Ciężaryś dźwigał?

— I to nie.

— Czemuż sapiesz, niby miech kowalski a krew ci z policzków o mało że nie tryska?

— Ah!.. — odetchnął.

— Na dworze nie tak gorąco.

— Mnie się jednak gorąco zrobiło.

— Watamatura cię napadła?

— Ej... nie... Ot tak... coś przyszło...

— Pójdź do baby jakiej, żeby ci odszeptala.

Nikoła ręką na to machnął, odetchnął nieco i starał się umysł zająć czytaniem. Wziął do ręki gazetę jedną, drugą, trzecią, oczami ją przebiegał, lecz nic a nic nie rozumiał. Litery i wiersze w oczach mu migaly, ale na mózgu głębszych nie czyniły wrażenia. Czytanie jego odbywało się mechanicznie.

Po izbie się rozejrzał, jakby oczyma kogoś szukał. Szukał Stojana—nie było go.

— Poszedł do siebie—pomyślał i, jak machinalnie czytał, tak machinalnie wstał, wyszedł i puścił się bez celu przez miasto.

Nie pędził już, jak poprzednio — szedł powoli w zamyśleniu, ludziom z drogi ustępował, lecz nie wiedział, dokąd go droga zaprowadzi. Szedł, aż iść dalej nie mógł. Zatrzymała go przeszkoda naturalna—urwisko, z którego wzrok wybiegał na Dunaj a za Dunajem na okiem nieobjętą płaszczyznę, mającą pozór morza zielonego. Na morzu tem w dali połyskiwały punkty błyszczące, które uwagi Nikoły na sobie nie zatrzymywały. Patrzył i nie widział. Usiadł na brzegu urwiska, z nogami, na sposób turecki popodginanemi, łokcie na nogach oparł, na kulakach oparł brodę i w pozycyi tej przesiedział godzinę, jeżeli nie dłużej. Myślał niby; gdyby kto go jednak zapytał: „o czym?“, odpowiedziećby nie umiał. W głowie mu się snuło i snuło bez końca, roilo się, niby we śnie, o Bułgaryi, przedstawiającej się pod postacią młodej, płowowłosej niewiasty, ogromnie podobnej do Ilenki Christownej. Nierychło z chaosu tego wyplątywać się począł ład jakiś. Ład ów znalazł wyraz swój w wyrzeczeniu następującem:

— Gdyby mi ona (Ilenka czy Bułgarya?) z miejsca tego wprost tam do Dunaju skoczyć kazała... skoczyłbym.

Westchnął.

Było to powiedzenie, pod tym niedorzeczne względem, że w miejscu tem skoczenie do Dunaju

wprost niemożliwym było. Pomędzy podnóżem urwiska, a biegiem rzeki rozlegał się pas wybrzeża, wynoszący wszerek kroków przynajmniej sześćdziesiąt. Skoku na odległość dokonaćby nie mógł gimnastyk najzręczniejszy. To też skok ów należał do rodzaju tych, jakich dokonywa sprężystość serca, nie rachująca się z odległościami. Nedorzecznosc ta atoli znamionowała pewne, rozstrzelonych dotychczas myśli, skupienie, które się po chwili wyraziło w sposób, jeszcze niedorzeczniejszy, świadczący, że człowiek ten, ze względu na to, że się z owczarczyka wy kierował na krawczyka i samouctwem dobił się trochę wiedzy, czyli, że w realizmie życiowym po kolana brnął—bez względu na to, idealistą, gorzej nawet, aniżeli idealistą—romantykiem był.

„O, nasza ojczyzna zazdrosna kochanka.

Szalone z miłości ku niej serce rwie się,

Ona w przepaść rzuca białe kwiaty z wianka:

„Kto mnie kocha“ — mówi: — „ten mi kwiat przyniesie“.

Takim był krawczyk ów. Zoczył w dali szereg długi łabędzi, przeciągających w powietrzu. Znaczył się on smugą białą na horyzoncie lazurowym. Ciągnął, niby szereg wojska, tylko „nie kolumną czarną, jako ława błota“, ale kolumną jasną, świetlaną, która się wyginała w kabłak i formowała niby dwa zachodzące skrzydła. Nikola śledził jej ruchy i następujące ku niej posłał wołanie:

— O! łabędzie, łabędzie, gdybym to ja mógł się pomiędzy wami znajdować!...



Zkądże mu to strzeliło do głowy? Był to dalszy skupiania się myśli ciąg, wyrażający się w życzeniu, które już cel pewien miało. Gdyby się pomiędzy łąbiedziami znajdował, wskazałby im drogę nie na trzęsawiska zielone, ale do Carogrodu, ku pałacom sułtańskim. Sułtan po ogrodzie chodzi. Łąbędzie nadlatują i odrazu ogromnem dziesięcioletniem stadem na niego spadają. Berło dzierzył podówczas Abdul-Azis, sławny z tego, że miał oczy wylupiające i że, następcą tronu będąc, zabawiać się lubił ucinaniem łbów indykom. Był to, jeżeli wierzyć mamy świadectwu nieboszczyka Sadyka baszy, — człowiek wielki. Mimo to niespodziana dziesięciu tysięcy łąbędzi napaść postawiłaby go w położeniu okropnem.

— Łąbędzie, ojl łąbędzie... — wołał.

Coby pomogła sułtanowi wielkość, gdyby go łąbędz każdy uszczypnął? Broniłby się, łbyby ucinął, aleby to się nie zdało na nic i musiałby w końcu odezwać się: „Aman! czego wy, łąbędzie, chcecie ode mnie?“ Wówczas to wystąpiłby Nikoła i podał mu do podpisu gotowy firman, mówiąc do niego:

— Albo papier ten podpisz, albo niech ciebie łąbędzie zadziobią...

Wobec alternatywy takiej sułtanby podpisał.

Firman ów zawierałby rozkaz, wystosowany do wszystkich w memlekiecie bułgarskich baszów, kajmakanów, mudyków, urzędników cywilnych i wojskowych, ażeby, chwilki jednej nie zwłócząc, z Bułgaryi się wynosili.

Tak chłopak śnił na jawie.

Rojenie nie kończyło się na tem. Ciąg dalszy onego odbywał się w obecności Ilenki Christownej. Nikoła stawał przed nią z firmanem sułtańskim w ręku i powiadał:

— Widzisz... ja to sprawilem... Znalazłem dla narodu naszego sprzymierzeńca w... ptakach... A co? O, łabędzie, łabędzie!...—zawołał, widząc szereg białych, zwijających się w dół i zapadających w trzęsawiska dunajskie.

Nagle stanął. O uszy jego obito się zapytanie:

— Co ty tu robisz?

Obejrzał się. Obok z tyłu nieco stała kobieta stara, która, zdawało się, jakoby, mimo przechodząc, zatrzymała się. Postać kobiety tej nie była mu nieznaną. Widywał ją, przed oczami jego przesuwała się często. Spojrzał na nią i na zapytanie odpowiedział:

— A cóż?... siedzę...

— Nie siedź tu, synku.

— Czemuż?—zapytał.

— To miejsce niedobre: sprawia ludziom zawrót głowy... Tobie się jeszcze głowa nie zawróciła?

— Nie,—odrzekł, zapytaniem zdziwiony.

— Wołałeś na łabędzie... Czego od nich chcesz?

Słowa te zmieszały go.

— Hm...—mruknęła niewiasta.—Daj ty łabędziom pokój... Nie doprosisz się ich o nic.

— Czyż ja o co proszę?

— Wołasz na nie tak, jak gdybyś na mnie wołał: „babo Mokro!“ Daj ty pokój i—dodała—nie siedź tu... Czy nic innego do czynienia nie masz?

— Ja?... do czynienia?...

— Widzisz... wieczór nadchodzi.

Stara wskazała na niebo, na którego stronie zachodniej słońce świeciło nad horyzontem tarczą zwiększoną i zaczerwienioną.

— Wieczór—powtórzyła— dzień się kończy, a ku końcowi człowiek każdy ma coś do końca... Czyś ty nie nie zaczął?—zapytała.

Nikoła wstał, przed wieśniaczką stanął i odpowiedział:

— Zacząłem, babo, służyć.

— A widzisz...—odparła.—Idźże do służby swojej, a tu nie siadaj; chyba... iżbyś miał na to pozwolenie.

Baba odrazu przybrała w stosunku do Nikoły ton wyższości moralnej, który mu zaimponował. Dzięki temu, z uległością, z której sobie sprawy nie zdawał, posłuchał jej. Ona została,—on odszedł.

Służba, o jakiej jej wspomniał, tyczyła się tej, co się z rozmowy z Ilenką wykluła i spowodowała w myślach młodego człowieka najprzód rozstrzelenie, następnie dwojakie nedorzeczne skupienie.

Nedorzeczne? Nedorzeczniemi były one z punktu realistycznego, ale nedorzeczność ta nie była ani trochę większa od tej, dzięki której ludzkość wieki całe cudami żyła, cudów oczekiwała i do spraw bieżących interwencji różnych, a między innymi i ptasich, wzywała. Tłómaczy się to tem, że przechodziła stany dzieciństwa i młodzieńczości, tworzyła sobie wierzenia i w wierzeniach pokładała ufność nieograniczoną. I Nikoła przechodził stany owe, z tą różnicą,

że tworzył nie wierzenia, ale pożądania i to warunkowe. „Gdyby“ mu „ona“ rozkazała, skoczyłby; „gdyby“ się w łabędzia zamienił, przyniósłby Ilence firman sułtański. Wiary nie tworzył—roił jeno. Gdyby baba nie przeszkodziła, pozostałby na noc i snuł dalej rojenia, któreby zapewne inną pod wpływem cieniów nocnych przybrały postać. Baba jednak przeszkodziła; rozkazała—posłuchał—odszedł, i gdy się od urwiska tak oddalił, że go widać nie było, zmiarkował się i zapytał sam siebie, dlaczego baba przewagę nad nim miała. Baba Mokra? Słyszał coś o niej, ale niewyraźnie. Widywał ją i słyszał o niej; nie umiał atoli, co do niej, sprawy sobie zdać.

O jakim to ona pozwoleniu wspomniała?

Rozmyślał o tem i zmierzał prosto do Stanka po pisma.

Stanko zajmował mieszkanie w szkole, albo raczej mieszkanie jego szkoła zajmowała. Składało się ono z dwóch izb, z których jedna pełniła funkcję klasy, druga—kuchni. Klasa nie posiadała ławek ani stołów, świadczyły o niej książki na półce, tablica, i zawieszona na ścianie, stara, początek wieku XIX-go pamiętająca, mapa Europy. Dzieci do nauki zasiadały na podłodze. Z powodu niedzieli izbę zajmowała rodzina Stanka: żona jego i pięcioro drobiazgu, wśród którego dziewczynka najstarsza nie przekraczała lat ośmiu.

— Dobry wieczór—odezwał się Nikoła z proga.

Stanko na pozdrowienie odpowiedział, ale z siedzenia nie wstawał: dziecko jedno na rękach trzymał,

drugie mu na kolanach siedziało, trzecie się do niego przytuliło. Odpowiedział więc jemu i dodał:

— Wczoraj na ciebie czekałem.

— Moja wina—odparł Nikola, obok siadając.

Usiadłszy, pięścią się w czoło uderzył i rzekł:

— To ta głowa temu winna... zapomniałem.

— Nie gniewaj się na siebie... To rzecz ludzka... Pamięć? hm... Pamięć czepia się głowy za razem dopiero siódmym... Tyś dopiero zapomniał raz... i mnie to nie zdziwiło... Zaszła jednak inna rzecz: zdawało się mi, żeś się rozmyślił.

— Ale!...—zaprotestował Nikola.

— O głowę chodzi, nie każdy gotów głową własną igrać.

— Jeżeliś igrał ty, co dzieci masz...

— Hiej!...—odparł Stanko,—ja co innego.

— Jakto co innego?

— To mój esnaf... Zaczyna się on od abecadła i idzie, idzie precz do wszystkiego, co do czytania należy... Dzieci uczę a, b, c; starym powiadam: czytajcie! i tak to poszło, aż doszło do tego, że m podrzucał pisma, których się ludzie dotykać boją... Ale jabym głowy stracić nie chciał... Zdawało mi się, że i tybyś nie chciał także.

— Pewnie nie chciałbym.

— Namysłże się... może się rozmyślisz.

— Gdybym się rozmyślił, toby znów spadło na ciebie.

— Na mnie... nie, bom się już zdradził.

— Więc trzeba kogoś?

— Trzeba, ale takiego, co jakim w ogrodzie hadzi Christa mówił, dałby się na węglach gorących upiec i ani pisnął.

— Jażem na to już odpowiedział.

— Prawda, ale czyś nad odpowiedzią myślał?

— Juści... trochę.

— A przez ten tydzień myślałeś?

Indagacya ta nie sprawiła Nikole zadowolenia. Zapytanie ostatnie milczeniem zbył i Stanko pytaniu odmienną nieco postać nadał:

— O czemś przez tydzień cały myślał?

— O czaszy...—odrzekł.

— A?—odezwał się Stanko tonem zdziwienia lekkiego.

— O tej, com stłukł... pomniesz?

— Tak ci w głowę wlaża?

— Odkupić taką samą chciałem?

— No?

— Anim pariczek tyle nie miał, ani dobrać nie umiałem, poszedłem więc dziś do momicy hadzi Christa, ażeby mi czasę podobną pokazała.

— I cóż?

— Teraz już co innego,—teraz nad tem, czybym na rozpalonych węglach bez piśnięcia wytrzymał, rozmyślać nie potrzebuję.

— Piękna momica...—zauważył Stanko i zapytał:—Aleś jej nic o pismach i o mnie nie wspominał?

— Mowy o tem nie było.

— To dobrze... Ponieważes więc postanowił, trzeba jeno poczekać trochę na pozwolenie.

— Pozwolenie...—podchwycił Nikola.—Dziś już po raz drugi z wyrazem tym się spotykam.

— A to jak?

— O pozwoleniu prawisz mi ty; przed chwilą o pozwoleniu pawiła mi baba Mokra.

— Gdzieżeś się z nią zeszedł?

— Usiadłem był sobie na urwisku nad rzeką, ona nadeszła, odejść mi kazała i powiedziała, że na miejscu tem siadać nie mogę, chyba iżbym dostał pozwolenie.

— Hm?—mruknął Stanko.—Znasz ją?

— Słyszałem coś o niej.

— To niewiasta, dziwna trochę i bardzo mądra.. W Ruszczuku ją wszyscy znają... i ona się nie boi ani agi, ani baszy samego.

— Widać to po niej!—rzekł Nikola.

Stanko coś jeszcze powiedzieć chciał, lecz głową jeno pokiwał i na żonę, która w izbie przyległej około wieczery się krzątała, zawołał:

— Weźno dziecko — rzekł do niej, podając jej niemowlę, co na rękach jego spało.—Mam się z człowiekiem wedle książek rozprawić.

Żona dziecko zabrała; on wstał, wyszedł i po chwili powrócił. Powracał, zdawało się, z niczem, usiadłszy jednak obok Nikoły, z rękawa wysunął i przy nim położył druki, składające się ze złożonego w kilkoro arkusika dziennikarskiego i z cieniuchnej w czerwonych okładkach broszury. Położył to i rzekł:

— Oto masz... Weź to i w rękaw sobie wsuń. Nikola uczynił, jak mu powiedziane było.

— A idąc ulicą—dodał Stanko—bacz, ażeby zaptyje do apsu cię nie zabrali.

— Dlaczegożby mnie zabrać mieli?

— Dlaczego? Wydać się im może, żeś łop i wezmą, opatrzą ci kieszenie wszystkie, zabiorą, co masz i, jeżeli znajdą pariczki, potrzy mają i bez pariczek puszcza; jeżeli zaś znajdą pisma, będą cię wodzili z apsu do konaku, z konaku do apsu, będą ciebie rozpytywali, szturchali, w pięty bili, głodzili, męczyli, ażeby w końcu albo powiesić, albo do Akry (St. Jean-d'Acree) na gnicie odesłać... Rozumiesz?

— A no...— odrzekł Nikoła, brwi podnosząc.

— Wiesz już, co ciebie czeka?

— Wiem!

— Na baczność się miej i niech cię Pan Bóg strzeże... Zajdź do mnie we środę, a teraz... czy slyszysz?

Palec wskazujący podniósł, zwracając w sposób ten zapomocą zapytania i giestu uwagę Nikoły na żałośny, przeciągły śpiew muezzyna, rozlegający się z minaretu pobliskiego.

— Namaz wieczorny... Za pół godziny po ulicach niewolno już będzie chodzić, chyba tylko kotom, psom i zaptijom... Śpiesz się.

Nikoła zerwał się i ruszył. Na ulicach panował żywszy, aniżeli w ciągu dnia ruch, spowodowany tem, że mieszkańcy do domów swoich pospieszali. W tej dnia porze, w dni świąteczne i niedzielne zwłaszcza, patrole gęste krążyły, idąc obławą na pijaków i podejrzanym. Nikoła podejrzanym się czuł i dlatego miną nadrabiał, coby mu mogło na złe wyjść,



gdyby się byli chcieli zaptije przypatrywać mu pilnie. Szczęście mu jednak sprzyjało. Przemknął się, do czytelnik dostał i z nowego zadania swego pomyślnie się wywiązał.

## VI.

Baba Mokra—była to w rodzaju swoim niewiasta osobliwa. Lat dziesiątek temu straciła męża, po którego śmierci pozostało jej synów trzech, córka jedna i majątek znaczny. Nieboszczyk liczył się ongi do najmożniejszych w Ruszczuku handlarzy i z racyi tej pozostawał w ogromnem u spółobywateli i u władz poważaniu. W ostatnich życia swego latach czorba-dżyował ustawicznie prawie, wywiązując się z obowiązków, jak na człowieka poważnego i lojalnego przystało. Nie spoczywał na nim nigdy cień podejrzenia i nie miano muza zle tego, że synów na wychowanie za granicę posłał. Człek, taki zamożny, mógł sobie na to pozwolić, a przytem przykład w tem dawali Turcy sami, którzy młodzież swoją muzułmańską wśród giaurów we Francyi, w Niemczech, w Szwajcaryi nawet edukowali. Na rok, czy na lat dwa przed śmiercią swoją wyprawił za granicę syna najmłodszego, najstarszy zaś nauki kończył; baba Mokra ster interesów objęła w zastępstwie syna najstarszego, który się w celu tym w szkole handlowej kształcił. Do

czasu przybycia jego matka sprawowała interesa w tym samym, co nieboszczyk mąż, kierunku i duchu, trzymając się zdala od wszystkiego, co nielojalnością trąciło. W domu jej i w otoczeniu o niczem więcej, tylko o pariczkach mówiono,—pariczki były dla niej początkiem i końcem wszech rzeczy i pomimo, że czytać ani pisać nie umiała, tak się w robieniu grosza wprawiała, iż poważanie, jakie posiadał jej mąż, przeszło całkowicie na nią. Głos powszechny uznawał ją za niewiaستę bardzo rozumną—w rzeczy zaś samej radzić sobie umiała i nie zapominała języka w gębie wobec dygnitarzy najwyższych. Śmiała, rezolutna, nie załękłaby się sultana samego. Lat parę prowadziła handel—nareszcie syn przyjechał,

— Ej dobrze, zem się ciebie doczekała — rzekła po załatwieniu się z powitaniem.— Weźże na siebie wszystko: kupuj, nie kupuj, sprzedawaj, nie sprzedawaj, a licz, ażebyś zdać umiał rachunek młodszym swoim...

— Ej matko — odrzekł młody człowiek. — Ani trochę mi się do handlu nie śpieszy...

— Czemu? — zapytała.

— Mam do czynienia co innego... Dwóch robót na raz robić nie można...

— Prawda...—odparła, i o to, co syn ma do czynienia, nie pytała.

Syn, który się zeuropeizował zupełnie, mówił jej o indywidualizmach narodowych, o prawach, jakie indywidualizmy owe mają do bytowania, o walce o byt, polegającej na bronienu się słabszych przeciw przewadze możniejszych, o prawach postępu, o auto-

nomii, osobistości człowieka i wynikających stąd następstwach, o innych jeszcze rzeczach, których ona zgoła nie rozumiała. Nie rozumiała i o rozumienie jej nie chodziło, a to dlatego, że:

— Najmniejszego w tem, — słowa jej — niema związku ani z łojem, ani z mydłem, ani z powidłami, ani z oliwą...

Nie wpływało to na cenę artykułów tych, więc się tem nie interesowała.

Syn zabawił w domu dni kilka. Ona go namawiała, żeby z nią do paszy poszedł, powiadając:

— Pytał o ciebie i radby cię poznać...

Syn jej na to:

— Ale on jest narzędziem uciemnienia ojczyzny naszej...

Kobieta i tego nie zrozumiała. Turków się obawiała; wiedziała, że z nimi ostrożnie być należy; widziała w nich władzę; przekonaną jednak była, że się to dzieje z woli Bożej i że inaczej być nie może. Zżyła się z nimi, oswoiła; na wszelkie przewidywane ze strony ich przykrości miała z góry obmyślane i wypróbowane sposoby, które zaprawiała dobrym humorem. Dając np. urzędnikom łapówki, żartowała, i tem ujmowała ich sobie. Dlatego też nic a nic nie rozumiała syna, gdy ten od Turków stronił, a rad się wdawał z młodzieżą bułgarską, która się do niego schodziła i której on prawił o Szwajcarach, o Holendrach, o Hiszpanach, o Włochach, o wielkich przykładach dziejowych, nie mających nic wspólnego z handlem. Słowa synowskie czepiały się jej pamięci, tylko w po-

staci „opowieści pięknych“, w których atoli nie upatrywała zastosowania drastycznego najmniejszego.

Syn zażądał raz od niej dwustu dukatów.

— Na co?.. — zapytała.

— Na rewolwery, majko... — odpowiedział.

— Tanio ci się trafiają... co?

Przekonana była, że jest to kupno na odprzedaż. Za dukatów dwieście nabyć było można rewolwerów trzydzieści, jeżeli nie czterdzieści; na cóżby przeto, jeżeli nie na sprzedaż, tyle naraz syn kupował? Pieniądze dała i czekała na transport. Syn tymczasem wyjechał.

— Dokąd?..

— Do Rumunii, majko...

— Na długo?..

— Ej nie... Powrócę nie sam...

— Upatrzyłeś sobie może kokonicę jaką?.. — zapytała tonem tej insynuacji macierzyńskiej, w której brzmi życzenie piastowania wnuków.

— Nie do kokonic mi teraz... — odparł młody człowiek.

Gdy się go z powrotem spodziewała, rozeszły się wieści o rozruchach, sprawionych przez *czetę*, co z Rumunii wtargnęła. Babę Mokrę coś naksztakt przeczucia niedobrego tknęło. Zaniepokoiła się nie dla czego innego atoli, jeno dlatego, że syn jej znajdował się w kraju, z którego *czeta* owa nadeszła. Uważała to za zbieg okoliczności przypadkowy. Niepokoiła się jednak, ciekawie dopytywała się o wieści; że zaś wiedziała, iż wieści pewniejszych nikt w mieście mieć nie może, niż władze krajowe, skorzystała

przeto z pretekstu pierwszego lepszego i poszła do konaku. Z komorą celną miała sprawę, która się opierała o paszę, gubernatora prowincyi. Do niego się wprost udała. W izbie poczekalnej przesiadywała niedługo. Znalazłszy się wobec paszy, przedstawiła mu sprawę swoją i gdy w głowie szukała sposobu zaczepienia go o wieści, on ją zaczął sam:

— Co tam słychać? — zapytał.

— Słyszysz ty, effendim, więcej, aniżeli ja, — odparła.

Pasza się uśmiechnął dobrotliwie i odrzekł:

— Masz uszy tak samo, jak i ja.

— *Jok...* — ona na to, głową z dołu do góry na znak przeczenia ruszając i językiem o podniebienie cmokając. — Ja uszy zawiązuję, ty je nosisz na wierzchu... Dlatego ja to jeno słyszę, o czem się bardzo głośno mówi.

— O czem naprzykład?

— O tem, żeś słodki, jak cukier, paszo effendim...

— A więcej?..

— O tem jeszcze, że jacyś tam hajducy się pokazali...

— O nie hajducy to... — rzekł pasza.

— Jeżeli powiadasz, że nie hajducy, tedy powiedz mi jeszcze, kto...

— Powstańcy, *dżanem*.

— Nie wiem, co to powstańcy...

— Dowiesz się, gdy się pokaże między nimi twój syn.

— Syn mój?.. Cóżby on tam robił?..

— Gdzież on? — zapytał pasza.

— *Teshiere* (paszport) wziął i za Dunaj pojechał.

— Wedle czego?

— Wedle handlu, jeżeli nie wedle kokonicy jakiej.

„Kokonice“ wtrąciła celem nadania odpowiedzi swojej akcentu żartobliwego, pomimo, że się jej serce złowrogiem ścisnęło przecuciem.

— Miał co kupować, sprzedawać? — pytał pasza dalej.

— Miał się o czerwicz dowiadywać.

Powiedziała: „czerwicz“, a w myśli miała „rewolwery“, i w głowie jej odbyło się coś naksztalt świtania. To, czego nie rozumiała, rozumieć poczyniała. Pasza odpowiedział.

— Ij dobrze... jeżeli to o czerwicz chodzi.

— A jeżeli chodzi o kokonice?...

— To jeszcze lepiej, spodziewam się bowiem, że mnie na wesele poprosisz. Wypiję za zdrowie młodej pary...

— Ja zawczasu to wino, które pić będziesz, nazwę, paszo-effendim, wodą...

— Dobrze... będzie cud nowy, o który się zresztą nie troszcz; posadź mnie jeno tak, żebym był obliczem od wschodu słońca odwrócony, to prorok wiedzieć nie będzie czy wodę, czy wino piję... — I zapytał: Kiedyż się syna z powrotem spodziewasz?

— Dziś, jutro... — odpowiedziała.

— Gdy powróci, powiedz mu, ażeby przyszedł do mnie: mam z nim do pomówienia.

Wielki kobietę opanował niepokój, gdy z kona-

ku wyszła. Do domu wracając, zatrzymywała się po sklepach, celem zasięgnięcia języka. Dowiedziała się o wyjściu z Ruszczuku wojsk i oddziałów zaptich (żandarmów), a także o zniknięciu z miasta pewnej liczby ludzi młodych, pozostawiających rodziny w rozpacz. Nazwiska jej wymieniano i zapytywano:

— A twój syn?..

Spotkała się z jedną z matek, dotkniętych zniknięciem synów. Ta, skoro ją zobaczyła, zawołała:

— Jeżeli chłopiec mój przepadnie, — ja będę twego przed Bogiem oskarżała!..

Baba Mokra nie wątpiła prawie, że najstarszy jej syn do czety przystał i czyniła sobie z racji tej wyrzuty gorzkie, które miały niejako dwa oblicza. Wyrzucała sobie zrazu, że go puściła. Ale czyż go puścić nie mogła?

Gdy sobie pytanie to zadała, rzecz przedstawiła się jej inaczej i przybrała postać zapytania następującego:

— Czemu on u mnie na rewolwery zamiast dwustu—dwóch tysięcy dukatów nie zażądał?..

Handlarka w moc pieniędzy ufała, a domyślając się, o co chodziło, obrachowywała, że nakład większy tem pewniejby sprowadził rezultat pomyślny. Z drugiej atoli strony ufała i temu, że syn jej za granicą tyle nabył rozumu, iż obrachował, jakiego potrzeba nakładu, ażeby—co?.. Z punktu zapytania tego umysł jej szukał drogi i wytykał sobie takowy domysłami i przeczuciami. Z tego, co z ust synowskich słyszała, a czego nie rozumiała, robiła sobie pojęcia, które były odradzaniem się tych, co wieków temu pięć, zgłuszone

orężem tureckim, zanikły. W sposób ten objawił się w niej atawizm moralny — w duszy odradzała się dusza praojców, o których nazwiskach historia nie wspominała nigdy. Sprawy jednak nie zdawała sobie jeszcze jasno. We względzie tym ona stara przechodziła proces psychiczny, podobny wielce do tego, jaki w lat kilka później przechodził młody Nikoła. Jak ten ostatni, tak ona nie wiedziała zrazu, o co rzecz się rozbija. Z zewnątrz coś na Bułgaryę zawiąło i pod wpływem zawiania tego przeistaczały się nie tylko młode chłopcy, ale i stare kobiety.

Z niepokojem wielkim baba Mokra chwyciła wieści, nadchodzące co chwila prawie i napełniające mieszkańców mahały bułgarskiej przerażeniem. Wieści nie wszystkie brzmiały niepomyślnie. Zagadano na przykład, że wzdłuż Dunaju, od Ruszczuku, od ujścia Ruszczuku do Widdynu, w punktach, jeden od drugiego oddalonych nie więcej, jak o ćwierć godziny drogi, przeprowała się na brzeg bułgarski czeta jedna powstańcza i że czetadzi każdy w trzy rewolwery był uzbrojony. Rewolwery wśród ludności bułgarskiej posiadały wówczas ufnosć wielką. Obliczano wojowników na tysięcy przynajmniej dwadzieścia. Wypadało ztąd rewolwerów tysięcy sześćdziesiąt. Pomyślna ta wieść odegrywała czas jakiś rolę kotwicy, symbolizującej nadzieję. Ustąpić jednak musiała wieściom niepomyślnym, które rychło napływać poczęły, mnożyły się, wzmagaly i stały się w końcu dotykalne niejako, gdy wysłani zaptije powracali, prowadząc po dwóch, po trzech ludzi, okrwawionych i związanych. Ludność na spotkanie ich wylegała. Od bramy miejskiej, którą



te konwoje smutnie wkraczały, do apsu, stały tłumy, ponuro milczące. Od czasu do czasu z pośrodku tłumów jęk się wydzierał. Następowало to w razie takim gdy która z niewiast w związanym i okrwawionym poznała syna. Pierwsze zaptijów oddziały z jeńcami wkraczały, następne niosły lby obcięte. Ci, co trofea te w rękach za włosy trzymali, podnosili je i zapytywali:

— Poznajecie?

Baba Mokra z sercem ściśniętem w tłumie stała i jakoś sobie wyobrazić nie mogła, ażeby jej syn w gronie jeńców lub zabitych znajdować się miał. Uważała za rzecz niemożliwą, ażeby taki, jakim on był, elegancki i delikatny młody człowiek, sponiewierał się tak, jak ci, których do apsu pędzono. Czegoś podobnego ani przypuszczała, wydawało się jej bowiem, że ze strony syna jej byłaby to ofiara za wielka, ofiara taka, której od niego nie wymaga Bułgarya.

„Bułgarya“ — w szykowaniu się pojąć jej był to nabytek nowy, który widok więzów, okrwawień i bladych głów, odciętych od tułowiów, w sercu jej gruntował. Wpatrywała się, usta jej drżały, w oczach świecił blask gorączkowy. Zaptije przechodzili, aż nadszedł jeden, który niósł łeb i pokazując go ludziom zapytywał:

— Poznajecie?

Pokazywał, zapytywał i przechodził: z babą Mokrą się zrównał i zapytać nie zdążył, gdy ta krzyknęła:

— Syn mój!..

Krzyknęła, ręce do głowy wyciągnęła, oblicze jej przybrało wyraz modlitewny, a usta szeptem wymawiać zaczęły:

— Bułgaria... Bułgaria... Bułgaria...

— Poznajesz?... — odezwał się zaptija, głowę do góry podnosząc.

— Poznają, — odrzekła spokojnie. — Oddaj mi ją.

— W konaku się o nią upomnij.

— Będzie się o nią upominał Pan Bóg!—odparła i w tłum się cofnęła.

A w tłumie szeptano:

— On namówił młodych, co poginęli daremnie...

— Niedaremnie!... — odpowiadała wśród tłumu się przeciskając.

W godzin parę później dotkniętą została w sposób, potęgujący boleść, jaką widok głowy syna jej sprawił. Przed domem jej zebrała się gromadka niewiast rozżalonych. Tej syn zginął, owej do więzienia się dostał, — stały i złorzeczyły, wzywając na jej głowę karę boską.

— Takeś to go wychowała, że namówił, pociągnął i zaprzepaścił!..

Baba Mokra wyszła i zapytała:

— Czyż się nie zaprzepaścił i on sam?..

— Ale on namówił i pociągnął!..

— A jegoż samego nie pociągnął nikt?..

— Któż... kto?... — wołały niewiasty z akcentem takim, jakby sprawcę nieszczęść do rąk dostać i rozszarpać chciały.

— Ten, co jego pociągnął, przychodzi ztamtąd... — w górę palcem wskazała.

Uroczystość, z jaką słowa te wyrzekła, sprawiła na niewiastach wrażenie. Nie mogły dalej złorzeczyć tej, co sama boleśnie dotknięta była. Nieszczęścia swoje wzięły za dopust boży i rozeszły się, płacząc.

Baba Mokra na osobności płakała także, — płakała i modliła się; nazajutrz w godzinie, w której pasza audyencyi udzielał, do konaku się udała. Adjutanci okazali zdziwienie niejaki, gdy ją ujrzeli, a powodem zdziwienia było najprzód to, że przychodziła, powtórę to, że oblicze to nie zdradzało wzruszenia najmniejszego. Jeden z nich zwrócił się do niej z zapytaniem:

— Po coś ty tu?

— Do paszy, dżanem, — odrzekła.

— Nie wiesz chyba, co ciebie spotkało?

— Wiedziałam pierwej niż ty i pasza.

— Nie wiem czy pasza przypuści cię przed oblicze swoje.

— Jeżeli nie wiesz, — zapytaj.

Adjutant odszedł i niebawem wrócił z wezwaniem baby Mokry do jego ekscellencyi.

Pasza ówczesny należał do rodzaju tych urzędników reformy, co duchowi czasu ulegając, potęgowali w sobie wrodzoną Turkom słodycz w obchodzeniu się. Nigdy się nie gniewał i nie unosił. Z uśmiechem uprzejmym przyjmował gości i interesantów, z takimże uśmiechem podpisywał wyroki śmierci i z takimże uśmiechem skazywałyby, gdyby to ze zwyczaju nie wyszło, na darcie pasów, ćwiertowanie lub wbijanie na pal. Uśmiech przyrósł niejako do po-

ważnego i pięknego oblicza jego, na którym przebijał się wyraz melancholii, podobnej do tej, jaka spostrzegać się daje w rosnących na grobach cyprysach. Babę Mokrą powitał głową skinieniem, miejsce jej obok siebie na dywanie wskazał i zaczął rozmowę od zwyczajnego rozmów wszystkich w świecie tureckim wstępu:

— *Ne var, ne yok* (co jest, czego niema)?

Na to odpowiada się: „Ty wiesz, panie“ (*Sen bilir, effendim*). Baba Mokra odpowiedziała, jak zwyczaj każe i odpowiedziała trafnie w stosunku do okoliczności. Pasza jej na to:

— Widzisz, do czego to nauka zagranicą syna twego doprowadziła...

*Chyzmet*, paszo *effendim*... tak wypadło...

— Zapewne... Możeby jednak wypadło było inaczej, gdyby był z Ruszczuku nie wyjeżdżał i łoju pilnował... Do czego wam Francye i Szwajcarye.

— *Chyzmet*, ... — powtórzyła.

— Hm... — mruknął pasza, nie mając co do powiedzenia na argument, zaczerpnięty z podstaw wiary muzułmańskiej.

— Nie sądziło mi się na wesele ciebie prosić... — rzekła.

— Szkoda... Ostrzyłem sobie pragnienie na to wino, co słowo twoje miało w wodę zamienić...

— Słowo moje, *effendim*, zawsze jest do zmian takich gotowe... Tego bądź pewny... Chciałabym być tak samo pewną, co do słowa twego, po którym do ciebie przyszła...

— Eh? — zapytał, popierając zapytanie gestem odpowiednim.

— Daj mi, paszo effendim, pozwolenie...

— Na zabranie głowy syna?

— Nie... Wiem, że ona wraz z innymi głowami ma na pokaz iść... niech idzie.

— Nie na pokaz — poprawił pasza, — ale na postrach.

— Na postrach dla jednych, na pokaz dla drugich. Ale to nie w tem rzecz... Co do niej, chciałybyśmy umyć ją i zaczesać, toć to głowa dziecka mego.

Gdy wyrazy ostatnie wymawiała, czuć się w nich niejako dawało pękanie serca w piersi; w spokoju, z jakim je wymówiła, głucho huczała burza sroga; wyrzekła je i tak dalej prawiała:

— Jeżeli mi na to pozwolisz, powiem ci: *ewała* (dziękuję). Prośba moja jednak nie do tego się ścięga. Pozwól mi, effendim, do apsu raz na dzień na godzinkę wchodzić.

Żądanie to mocno zdziwiło paszę; — zapytał:

— Po cóż to tam?

— Nie pytałbyś mnie tak, paszo effendim, gdybyś był słyszał, jak mi wczoraj złorzeczyły matki.

— Czemuż to? — zapytał pasza ze współczuciem.

— Syn mój — ich synów namówił i pociągnął, i dlategobym pragnęła synów ich, co się za przyczyną mego do apsu dostali, opatrzyć i pokarmić. Niechbym matkom w ten przynajmniej sposób wynagrodziła.

Żądanie, w sposób ten wyrażone, było, o ile słuszne, o tyle racjonalne. Pasza jednak namyślał się. Przez czas jakiś milczał, wreszcie się odezwał:

-- Chcesz syna głowę obmyć i zaczesać... hm?...  
Chcesz więźniom do apsu bieliznę i jadło donosić...  
hm?... — Głową pokręcił, — Ii... Niech tak będzie.

W dłonie klasnął i adjutantowi, który się w komnacie ukazał, dał rozkaz stosowny.

— Idź za nim, — odezwał się do baby Mokry.

Kobieta poszła za adjutantem, który zaprowadził ją najprzód na strażnicę, znajdującą się w konaku na dole. Była to strażnica żandarmeryi. Adjutant słów kilka powiedział komendantowi i ten wskazał jej rzucone pod ścianą głowy ludzkie w liczbie pięciu. Baba Mokra podeszła, ręce na piersi skrzyżowała i łkanie w piersi tłumila.

— Tylkoż mi tu nie lamentuj, — ostrzegł ją komendant zaptich.

— Nie lękaj się, dżanem — odparła. — Nie będą uszy twoje płaczu mego słyszały. Poproszę cię jeno o ręcznik i o wody dzbanek.

Na strażnicy znalazł się i ręcznik i dzbanek. Dwa te przedmioty towarzyszą Turkom nieodłącznie.

Kobieta przyklękała przed szeregiem głów białości sinawej, pocentkowanych i poplamionych krwią, okrytych włosiem zmierzwionym i zakończonych pieńkami karków, na których dokoła gardzieli otwartej czerwieńło się mięso zczerniałe, zaznaczone białym kręgiem kości pacierzowej. Zęby ich były ścięte, powieki u jednych zwarte, u drugich otwarte; wyraz trupi bił od nich z okropnością tem większą, że się przedstawiał pod postacią pogwałcenia, dokonanego na całokształcie ciała człowieczego. Zdawało się, jakby z powodu pogwałcenia tego głowa każda skarżyła

się bólem, wyrytym w każdym oblicza rysie, bólem niemym a głębokim.

Baba Mokra przyklękła, okiem po głowach powiodła i ręką ku głowie syna pomknęła; lecz się powstrzymała, odetchnęła, dłonią sobie pierś, jakby się jej słabo zrobiło, przycisnęła i rozpoczęła mycie od głowy innej. Umyła ją, obtarła, uczesała i przystąpiła do następnej, nie synowskiej. Po tej umyła trzecią, po trzeciej — czwartą; syna odłożyła sobie na ostatek. Kolej nakoniec przyszła na niego.

— Synu mój... synu... synu... — szeptała.

Wzruszenie wewnętrzne targalo nią, — panowała nad niem; pierś co chwila rozdymała się westchnieniem, wypychającym jęk z głębi; jęk w sobie tłumiła; ręce jej drżały, drzenie powściągała i umyła policzki, czoło, usta, uszy, szyję; włosy na głowie ostrożnie grzebieniem, najprzód rzadkim, następnie gęstym chesała, olejkiem je wonnym zwilżyła, układała tak długo, aż basz-czausz zawołał na nią:

— Dosyć już tego!

Usunęła się i, w kucki siedząc, przypatrywała się.

Basz-czausz wniósł na strażnicę pięć, z jednego końca zaostrzonych, tyk wysokich. U wniścicia stało zaptich pięciu, z których każdy miał i wyciągał przez drzwi tyki, w miarę jak czausz wbijał na nie jedną po drugiej głowy. Kobieta śledziła czynność tę suchem okiem, ze zmarszczoną powieką, ze ściętymi zębami i z zaciśniętymi pięściami. Gdy czynność skończona została, podniosła się i przed strażnicę wyszła. Na podwórku konaku żołnierze, urzędnicy, służba i ludzie

z miasta przyglądali się widowisku, przedstawiającemu się pod postacią pięciu głów ludzkich, sterczących na pięciu pikach. Trzymający je zaptije na rozkaz czekali. Czekali niedługo. Na dany znak podszedł ku nim oddział piechoty pod bronią, słyszeć się dała komenda i zaptije z tykami pod przykryciem wojska wyruszyli z podwórca. Na czele postępowało dwóch doboszów. Dobosze w bębny uderzyli. Orszak pociągnął ulicą ku jednej z bram miejskich.

Baba Mokra za wojskiem poszła i szła w towarzystwie dzieci tureckich, których liczba zwiększała się, w miarę jak się orszak posuwał. U bramy zebrał się ich tłum. Biegły, zaptijom drogę zabiegały i wykrzykiwały:

— Giaurlar!.. a giaurlar!

Przechodnie zatrzymywali się, — Turcy spluwali, chrześciance piersi znakiem krzyża znaczyli.

Przed bramą, w której, z powodu że Ruszczuk warownią był, warta stała, jeden z zaptijów wbił przy drodze tykę jedną i orszak do miasta wrócił, podążając ku bramie innej. W sposób ten głowy pięciokrotnie obniesione zostały po mieście w kierunkach różnych. Baba Mokra towarzyszyła orszakowi trzy razy, a to dlatego, że za trzecim dopiero razem pozostała przed bramą tyka z jej syna głową. Gdy ją zapti w ziemię wbił, osunęła się, przyklękła, dłonie na piersi ścisnęła, oczy wzniosła i poszeptem zaczęła:

— Synu! synu! synu!

Wyraz ten powtarzała coraz to wyraźniej i głosem, coraz to bardziej podniesionym, aż zawołała głośno, nadając wyrazom akcent śpiewności nabożnej:



— Ty z tyki tej do Boga wołasz o sprawiedliwość i do narodu przemawiasz prawdą! Synu! synu!

Wstała, chwilę jeszcze na głowę syna patrzyła i, gwałt sobie zadając, odeszła.

Udała się wprost do apsu. Dozorca więzienia, gdyby był fizyonomistą najbieglejszym, poznałby po niej nie mógł, ile przeboleła, ani nawet, czy cierpiała. Na obliczu jej jaśniała pogoda. Spokojnie i głosem naturalnym powiedziała mu nazwisko swoje.

— Baba Mokra, — odparł dozorca, — już znam ciebie. Przysłał tu pasza *chaber* (wiadomość) o tobie.

— Że mi do apsu wchodzić wolno?

— Wolno?.. zapewne wolno, ale niekoniecznie.

— Nie lękaj się, dżanem, — podchwyciła z przymleniem. — Jam nie dlatego od paszy pozwolenie wzięła, ażeby ciebie krzywdzić.

— I pozwoleniaś brać nie potrzebowała.

— Chciałam ciebie zasłonić.

— Dobrze, — uśmiechnął się dozorca i zapytał: — Masz w apsie syna, brata, co? kto tam ciebie obchodzi?

— Obchodzi mnie każdy. Czyż nie widzisz, żem stara? Dla ludzi starych dziećmi ich są i dzieci cudze.

— Tak to. Ale o dziecko twoje moglibyśmy pogadać, — odezwał się tonem insynuacji.

— Pogadamy, — odrzekła, zrozumiałwszy, że za cenę bakczyszu można będzie z więzienia kogoś wydobyć.

— A no, więc chodź, — odpowiedział dozorca, z siedzenia się podnosząc.

— Nie teraz, — ona na to i rękę z giestem odpowiednim wyciągnęła. — Nie chcę do głodnych wcho-

dzić z rękami próżnemi. Pójdę najprzód po posiłek dla nich.

— Było już odrazu z kobiałką przyjść.

— Miałam do czynienia co innego.

— Idź więc i wracaj, — rzekł dozorca.

Baba Mokra niedłuzej, jak w pół godziny, powróciła z koszem dużym i została niezwłocznie wpuszczona do więzienia, posiadającego wszystkie więzień dawnej daty przymioty: duszność, wilgotność, brudy i brak wszystkiego, co z wyrazem „wygoda“, chociażby daleką styczeńność ma. Klasycznej nawet słomy na podłodze nie było. Do wnętrza schodziło się w dół przez drzwi dwoje; światło i powietrze dostawało się przez małe, okratowane, wysoko umieszczone okienka grubego muru o wyłamaniu się ani myśleć pozwalał. Dozorca babę Mokrá wprowadził. Weszła, więźniów w imię Boże pozdrowiła i zaczęła:

— Dobrze wam tak, macie carstwo bułgarskie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się dozorca.

Więźniowie, których było kilkunastu, jedni pokaleczeni, inni zdrowi, ze zdziwieniem na nią oczy zwrócili. Kilku ją poznało.

— Miłościwy pasza, — ciągnęła dalej, — pozwolił wam jadła trochę dostarczyć.

Rzekłszy to, jęła z kosza wydostawać chleby, ser, mięsiwo wędzone, owoce i butelki.

— Od kogo to? — zapytał z więźniów jeden.

— Nie pytaj, jedz i Panu Bogu dziękuj.

Odpowiedź ta ten odniosła skutek, że się zgłodniiali do jadła pogarnęli. Kosz w chwili jednej wypróżniony został; na dnie onego znalazło się bielizny sztuk kilka, tytuń, papierki na sygareta i zapalki.

## VII.

W obecności dozorca rozmowa pomiędzy więźniami a babą Mokrą ograniczyła się do kilku wyrzeczeń obojętnych. Ci, co z Ruszczuku byli, dali jej parę do swoich rodzin poleceń. Posilek, przez nią przyniesiony, okazał się wielce przydatnym, a nawet przydała się obecność jej; przez cały czas bowiem, w ciągu którego przebywała w więzieniu, drzwi pozostały otwarte i napływało powietrze świeże. Z tego zapewne powodu kobieta z odejściem zwlekała i bytaby dłużej pozostała, gdyby jej dozorca nie po-  
naglił.

— Dosyć już... dosyć, — odezwał się.

— Kiedy dosyć to i dosyć, — odrzekła.

Za drzwiami więzienia dozorca dostał od niej dukata.

— Na drugi raz posiedzisz sobie z nimi dłużej, jeżeli zechcesz, — rzekł, bączyszem rozrzewniony. — Tyś niewiasta rzeczy świadoma.

Na drugi raz nie tylko jej dłużej pozostać pozwolił, ale sam wyszedł i ją z więźniami pozostawił. Ona też wnet z tego skorzystała.

— Który tu między wami ten, — zaczęła, — co najpewniej na szubienicę liczy?

— A tom ja, babo, — odrzekł jeden. — Jeżeli kogo, to mnie ten los spotka.

— Byłby spotkał mego syna, gdyby go byli Turcy żywego dostali?...

— Niechybnie, — odpowiedział.

— Otóż widzisz, powiadaj, co i jak mam robić, tak jakby mi syn mój powiadał. Będę przędła nitkę dla tkaczy, co po was przyjdą.

— Czy przyjdą?.. — odpowiedział jeden, na duchu upadły.

— Czy to się wraz z wami świat zawalił!... — odparła. — Zkądżeście się wzięli wy?..

Ten, co się z zapytaniem odezwał, zamilkł i pomiędzy babą Mokrą i kilku więźniami zawiązała się rozmowa, której wątek stanowiły czynności, prowadzone przez sprawców wybuchu nieudanego. Dawali jej oni, co do rozmiarów i stosunków, skazówki i polecenia. Za nadejściem dozorczy rozmowa się urwała i wznowila w dniu następnym. I tak dalej, aż do wyczerpania materji, co nastąpiło równocześnie z wydanem przez sąd wyroku, poprzedzonego, — rzecz naturalna, — procederem badania śledczego, które, dzięki interwencji baby Mokry, nie wyszło po za obręb więzienia. Wyrok wypadł dosyć łagodnie, również dzięki zabiegom, które ona czyniła. Umiała z Turkami gadać, chodziła od Annasza do Kaifasza, dreptała, i to wydreptała, że na śmierć skazany nie został zaden. Ten, co powieszonym być się spodziewał, jeden ze sprawców głównych, przeznaczony był na galery i w wigilię dnia, w którym go na miejsce przeznaczania wyprawiać miano, z więzienia znikł. Zarządzone z powodu tego dochodzenie ten jeno sprawiło skutek że ucieczkę więźnia przypisano wmieszaniu się siły

nadprzyrodzonej, która w istocie rzeczy polegała na bakczyszu sutym, udzielonym przez babę Mokrą dozorczy. Kiedy zbiega szukano, on w domu jej przesiadywał spokojnie i przy jej pomocy dostał się za Dunaj.

Baba Mokra od czasu onego oddała się duszą całą robotom podziemnym. Wykradła głównego sprawcę w tym jedynie celu, ażeby utrzymać ciągłość czynności i do której syn jej należał. Czynność się też nie przerywała,—przeciwnie zyskała na energii. Ona jej bodźca dodawała, bodźca tem silniejszego, że dom jej stał się główną konspiracyjną kwaterą, zamaskowaną tak, że oko policyi jawnej i tajnej dostrzedz tego nie mogło. Dom jej odpowiadał zadaniu, stał bowiem nieopodal urwiska owego, nad którym baba zaszła Nikołą i do którego przylegał ogrodem. Mur tylny ogrodu szedł równolegle do Dunaju. Od urwiska oddzielał go wąski stok, po którym przechodzić było niebezpiecznie, z powodu stromego spadku i kamieni ostrych, sterczących w dole. Spadek dalej łagodniał, wyginał się i stanowił załom, którego spód podmywała rzeka. W miejscu tem brzegiem żadna nie przechodziła ścieżka. Stopy ludzkie powstrzymywała niedostępność brzegu.

Do brzegu tego przytykał, jak się wyżej rzekło, domu baby Mokry ogród, który urządzeniem i rozkładem wewnętrznym nie różnił się od ogrodów innych. Tak samo zapełniały go drzewa owocowe, tak samo widzieć się w nim dawały grządki, trawniki i altany i tak samo posiadał przesmyki i schówki, przeznaczone do ukrywania się przed okiem ludności panującej. Osobliwość jedyną, jaka się w nim spostrzegać dawa-

ła, stanowiła studnia, zaopatrzona w koło, zapomocą którego obracał się walec łańcuchem okręcony a służący do spuszczenia i wyciągania uczepionych na dwóch końcach łańcucha dwóch wiader. Gdy jedno szło w górę, drugie schodziło w dół. Mechanizm to znany i osobliwość polegała nie na nim, ale na studni, której potrzeba nie usprawiedliwiała się dostatecznie, z powodu że nieopodal domu znajdowała się studnia murowana, dostarczająca wody obficie mahale całej. Potrzeba się nie usprawiedliwiała, ale obecność onej nikogo nie dziwiła, najmniej zaś Turków, w których mniemaniu wody nie mogło być nigdy za wiele. Dzięki mniemaniu temu Turcy zaopatrzyli w studnie doskonałe wszystkie, w jakich panowali kraje. Pozostała po nich ta jedna dobra pamiątka.

Znajdowała się tedy w baby Mokry ogrodzie studnia, której w ogrodach innych nie było; dom jej atoli niczem się od domów bułgarskich nie różnił. Rozkład onego wewnątrzny przedstawiał się pod postacią labiryntu, zaopatrzonego w tajemne wyjścia, w kryte schody, w skrytki i zakątki, budowane bardziej dla zwyczaju, aniżeli z potrzeby; minęły już bowiem te czasy, w których, po takich, jak Ruszczuk, miastach, Turcy urządzali łowy na dzieci płci męskiej, które zabierali do janczarów i na niewiasty młode, które do haremów ciągnęli. Duch reformy osłaniał jedne i drugie, nie usuwał atoli w mieszkańcach niedowierzania. Domy budowano po dawnemu; po dawnemu ogrody łączono komunikacją wewnętrzną i urządzano w nich wycieczki, ubezpieczające przemykanie się z jednego do drugiego. W mahale, w której stał dom baby Mo-

kry, przechowywała się tradycya, jako w ogrodzie, do domu tego przylegającym, znajduje się schron najbezpieczniejszy. Opowiadano, że tam niegdyś wszystkie *butki* z dziećmi i wszystko *momice* ukrywały się tydzień cały i Turcy napróżno szukali ich w domu każdym i każdym ogrodzie. Było to temu jednak dawno, nikt schronu nie znał, chyba baba Mokra sama coś o nim powiedzieć umiała. W ogrodzie się on nie zdradzał. W urządzeniu ogrodu różnicę jedynie stanowiła studnia; ale — cóż studnia? Studnię w głębi napełniała woda.

Studnię w głębi napełniała woda. Znajdowała się w niej jednak osobliwość pewna. Wiadra, co się po wodę spuszczały lub z wodą podnosiły, przesuwały się mimo otworu, idącego w bok i prowadzącego do galeryi podziemnej, wychodzącej na urwisko. Wyjście jej całkowicie maskował, sterczący na połowie mniej więcej spadku, kamień, z poza którego wyrastały krzewy i do którego z góry ani od którego w dół zejścia nie było. Długość galeryi, idącej nieco ukośnie, nie przenosiła metrów półtorasta. Na długość onej otwierały się po stronie jednej i drugiej wnijścia do dwóch wgłębień obszernych, mających kształt sali jakie się oglądać dają po katakumbach starożytnych. Przypominały one te ostatnie tembardziej, że były, równie jak galerya, murowane, sklepione i w kolumny zaopatrzone i przypuszczać należało, że stanowiły zabytek czasów bardzo dawnych. W Bułgaryi zdarza się często odkrywać zabytki tego rodzaju. To pewna, że galeryi tych, ani sal podziemnych, nie budowali Bułgarowie za czasów panowania tureckiego, pomimo, że

urządzanie wylotów podziemnych praktykowało się na skalę szeroką po miastach, po wsiach nawet. Niewola, z nadużyciami wszelkiego rodzaju połączona, uczyła lud ciemny sposobów ochraniań bytu swego od zawieszanej nad głowami jego eksterminacji. W walce o byt do sposobów podobnych uciekają się zwierzęta, rośliny nawet. Prawo natury uzbraja słabych przeciw mocniejszym tak lub inaczej. W wypadku tym podało ono gotową jakąś budowlę, z której mieszkańcy mahały bułgarskiej korzystali i która od czasu dłuższego bez pożytku pozostawała w rozporządzeniu baby Mokry.

Baba Mokra nie wiedziała zrazu, na jaki użytek schron ów obrócić. Zamierzała była przechować w nim skazańca, którego wykradła. Okazało się to atoli rzeczą zbyteczną. Skazaniec przechował się u niej bezpiecznie dni kilka, przebrał się, ucharakteryzował i, dzięki paszportowi pod nazwiskiem obcym, o jaki się dla niego wystarała, niepoznany, wyjechał i szczęśliwie do Rumunii się dostał. On pierwszy babę Mokrą w styczność z agitatorami wprowadził, w styczność, ograniczającą się początkowo powróceniem do początków czynności tej samej, z której wyniknął zamach nieudany, a która spowodowała śmierć najstarszego jej syna. Czynność ta całkowicie na propagandzie polegała. Baba Mokra podjęła się pośredniczenia w przesyłce pism, w czem jej służyły regularne stosunki handlowe, jakie z Bukaresztem utrzymywała. Pod osłoną stosunków tych otrzymywała druki, po które do niej przychodził Stanko.



Kobieta atoli na tem poprzestać nie myślała, Roilo się jej to, co synowi jej starszemu i tym, co z nim razem ofiarą padli. Zamach, który się tak fatalnie zakończył, wydał się jej rzeczą nietylko słuszną, ale konieczną, nietylko konieczną, ale możliwą. Pojęcie o możliwości płynęło zapewne z rozżalenia głębokiego, nie wyobrażała sobie bowiem składania przez naród ofiar krwawych na co innego, jeżeli nie na to, ażeby, jak mąż jeden powstać i jarzmo tureckie zrzucić. Mówiła o tem z więźniami w apsie w ogólności i z tym którego wykradła, w szczególności.

— Wy się w pisanie nie bawcie, ale rewolwery kupujcie.

— Rewolwerów niedosyć... — ten jej na to.

— Więc noże...

— Myśmy i noże mieli.

— Czegóż wam brakło... *puszek* (strzelb) chyba?

— Nietyle puszek może, co ludzi.

— Na ludzi nikt zawołać nie umiał.

— Nie o tych, na których się woła, ale o tych którzy wołają, chodzi.

Baba głową pokręciła i odparła:

— Prawda... Potrzeba ludzi świadomych. Syn mój, co głową nałożył, handlu się uczył, a Piotr uczy się filozofii. Czy filozofia, — zapytała, — przyda się na wypędzenie Turków?

Piotr — było to imię syna jej młodszego, który na jednym z uniwersytetów zagranicznych studyował na wydziale filozoficznym nauki ścisłe. Baba o tem,

rzecz prosta, pojęcia nie miała. Zbieg, który także w naukach kuty nie był, odrzekł:

— Nie wiem... Może się i przyda.

— Pojedźże ty do niego i powiedz mu odemnie, niech się takich rzeczy uczy, któremi się z kraju wroga wypędza... Bądź posłańcem moim.

Zaopatrzyła go w napisany przez córkę list i w pieniądze na drogę i w oczekiwaniu przybycia syna drugiego, trudniła się pośrednictwem w przesyłce pism, które niekiedy dwa razy, niekiedy raz na tydzień odbierała i po które przychodził do niej Stanko. W Ruszczuku nikt się ani domyślał tego. Stanko, człek spokojny i potulny, nauczyciel ubogi, ojciec działy drobnej, nie wzbudzał podejrzenia niczyjego, najmniej zaś ciężyc na nim mogło podejrzenie władz. Turcy spodziewaliby się raczej skończenia świata, aniżeli tego, ażeby się on miał czynności karygodnej dopuszczać. To też działał on we względzie tym nie z siebie, ale jako narzędzie baby Mokry, — narzędzie ciche, wierne, spokojne, pewne, ale bierne. Baba rozruszać go próbowała.

— Słuchaj, — mawiała, — żebyś ty też z ludźmi od czasu do czasu pogadał i tłómaczył im...

Stanko na to ramionami ścisnął.

— Tyś przecie człek rozumny, — nauczasz.

— Dzieci, — on na to.

— Czyż ludzie starzy, co nic nie wiedzą, dziećmi nie są?

— Jest różnica. Starego za ucho ciągnąć nie wypada, jeżeli nie rozumie tego, co się do niego mówi.

Na to nic do odpowiedzi nie było. Baba Mo-

kra czekała na zgłoszenie się posłańca, który, odjechawszy i przesyłkę druków urządziwszy, dał jeno znać, że Bukareszt opuszcza i słuch po nim zaginął. Bez posłuchu o nim miesiące po miesiącach mijały. Kobieta czekała na wieści od niego i na wieści od syna. Ten ostatni pisywał, ale o rzeczach zwyczajnych; o zdrowiu swoim donosił, niekiedy się pieniędzy domagał, zawiadamiał o postępach swoich naukowych i o powodzeniu na egzaminach. Listy te zazwyczaj Stanko czytywał i objaśniał babie znaczenie niezrozumiałych dla niej ustępów niektórych. Niektórych atoli i sam nie rozumiał, był zaś tak szczery, że się przyznawał.

— Nie wiem, nie rozumiem, — powiadał, — to nie na moją głowę.

Gładziej mu szło z listami Dragana, syna baby najmłodszego, chłopaka dziewiętnastoletniego, który zagranicą przebywał i po śmierci tragicznej brata najstarszego przyjechał był, lecz, woli matki ulegając, powrócił. Bawił zagranicą dla nauki, ale mu się nauka głowy nie imiała, a to dlatego zapewne, że wypadek, jakiemu brat najstarszy uległ, wywarł na niego wpływ irytujący. W głowie się chłopcu zapaliło. Wrzał. Matka w czasie pobytu jego w Ruszczuku miała z nim kłopot niemały i ledwie nieledwie powiodło się jej zażegnać burzę, jaką gotów był pod postacią awantury z pierwszym lepszym Turkiem sprowadzić na głowę swoją. Corychlej go też wyprawiała, licząc na to, że się uspokoi i ustatkuje przy nauce. Listy jego, acz pisywane ostrożnie, pełne były aluzji za-

palnych, które Stanko rozumiał i które babę Mokrą w zachwytyt wprawiała.

— Och, ten... — powiadała, — mój Dragan, niech jeno wieku swego dojdzie, to już on z Turczynem sobie poradzić potrafi.

Niepokoilo ją jeno, że Dragan nie dosiadywał długo na jednym miejscu. Udał się on do Odesy na naukę niby, z Odesy ruszył do Wiednia, ztamtąd do Genewy i z Genewy na Paryż dostał się do Belgradu, gdzie wstąpił do „szkoły wojskowej.“ Dwa wyrazy ostatnie wypisane były w liście wyraźnie. Wyczytawszy je, Stanko drgnął i zawołał:

— Czyż godzi się to pisać.

— Co?.. — zapytała baba.

— Szkoła wojskowa.

— Czemuż to się nie godzi?

— Gdyby list w ręce tureckie wpadł...

— No? — odezwała się ze zdziwieniem.

— W Belgradzie w szkole wojskowej uczą, jak się z Turkami bić, ażeby ich z memlekietu tak samo wypędzić, jak wypędzili Serbowie.

— Dragan tego się wyuczy?.. — podchwyciła baba z uniesieniem.

— Kiedy w szkole wojskowej jest, to się uczy; czy zaś się wyuczy... zobaczymy.

— O! wyuczy się, wyuczy!... mój gołąbek, mój sokolik, mój synek... Junak z niego będzie...

Wiadomość ta ogromnie babę Mokrą uradowała. Dla syna najmłodszego, który temperamentem odpowiadał jej najlepiej, roila przyszłość świetną. Na chwilkę nie wątpiła, że będzie z niego bohater, — je-

den z tych, których z bajek znała. W świecie nadzwyczajności upatrywała miejsce dla niego i z góry się nim w imaginacyi własnej chlubiła.

— Będą o nim pieśni rozpowiadały... — w duchu sobie mawiała.

Wkrótce po otrzymaniu tej wielce pocieszającej wiadomości Stanko udzielił jej wiadomości niepocieszającej.

— Złapano mnie, babo... — oznajmił.

— Na czym?.. — zapytała.

— Na podrzucaniu pism w czytelni.

— O?.. — odezwała się. — Żeby jeno co z tego złego nie wyszło.

— Bóg to wie.

Opowiedział, jak się rzecz miała; wywiązała się narada krótka i następstwo narady tej wyraziło się pod postacią stosunku, w jaki Stanko wszedł ze Stojanem i Nikołą. Przy naradzie opowiedział babie posiedzenie w ogrodzie hadzi Christa i tem ją na drogę naprowadził, co do osobistości Stojana.

— A!.. — zawołała — to syn mehandżego z Kriweny... Słyszałam o nim!.. Ojciec cincar, ale dobry człowiek i bogaty... Chłopiec się w Bukareszcie uczył; zdaje się hadzi Christo go sobie na zięcia szykuje.

— Piękną ma dziewczynę...

— A piękna, — przyznała. — Do Anki mojej przychodzi niekiedy... A tenże drugi? — zapytała.

— Na imię mu Nikoła... siroma jakiś: *cziraczi* (terminuje) u abudżija-Francuza, co na *czarszi* (ryнку) sklep otworzył.

— Tutejszy?...

— Nie zdaje się... Nie widziałem jednak, ażeby kto pilniej od niego czytał.

— Czytał... co?

— Wszystko, co się w czytelni znajduje... Pamiętam go, jak przybył... będzie temu rok, może półtora roku: dwóch zliczyć nie umiał, a teraz zrobił się rozbawiony taki... O Bulgaryi prawi, niby z książki.

— Czy pewny? — zapytała.

— Nie patrzy mu z oczu źle... Wydaje się być ochoczym bardzo.

— Jak wygląda? — zapytała jeszcze.

Stanko podał jej w przybliżeniu wiek Nikoły i zrobił rysopis postaci jego, dosyć dokładny, powiedział bowiem, jak się odziewa i jakie nakrycie na głowie nosi. Dzięki skazówkom tym baba Mokra poznała go nad urwiskiem, kiedy wskutek rozmowy z Ilenką zapędził się przed mur ogrodu. W dni kilka później widziała się ze Stankiem.

— Wiesz, — zaczęła, — poznałam tego chłopca... Wydaje się niczego... Jakże się sprawia?..

— A cóż?.. dobrze... Pisma zabiera, nosi i, jak ze słów jego miarkuję, dałby się za memlekiet na węglach rozpalonych upiec... Ochota wielka.

Rozmowa o Nikole wznowila się znów w dni kilka później, a to z okazji pisma od Piotra, w którym znajdował się ustęp, zapowiadający przybycie Dragana. Ustęp ów brzmiał:

„Więcej nie piszę, o wszystkim opowie Dragan, który niebawem w Ruszczuku będzie“...

Słowa te zastanowiły babę Mokrą.

— Szkoda! — odezwała się — Czy to w trzy miesiące można szkołę skończyć?..

— Można, — odparł Stanko—ale będzie to skończenie przed końcem... chyba, że Dragan przyjedzie i powróci...

-- Na przyjażdżki on grosza dużo traci... — zauważyła.— Ale... tak wypadło może.! I jak on z Belgradu przyjedzie?

— Najpewniej statkiem parowym, niemieckim...

— Innej drogi niema?

— Są drogi inne, ale ta najprostsza, najdogodniejsza i najtańsza...

Znane były dni, w których statki austriackie przybijały do przystani ruszcuckiej.

— Będę go wyglądała... — rzekła baba Mokra i po chwili dodała: — Dla Dragana chętniebym Nikołą tego wzięła...

— U abadžija terminuje, — zauważył Stanko.

— Czy on abadžijowi przysięgał?

— Ale może z abadžijstwa esnaf sobie zrobić chce.

— Znalazłby zajęcie u mnie w handlu.

— Hm?.. — mruknął Stanko.

— Zapytaj go o to... Chciałabym, ażeby Dragan miał przy sobie towarzysza młodego, któryby mnie słuchał i jemu miły był... Zdaje się, iż na to Nikoła się nada.

— Zdaje się, — odparł Stanko.—Pomówię z nim w sobotę; jeżeli Bóg doczekać da.

Sobota nadeszła, a w niedzielę Nikoła u baby Mokry się stawił. Umowa poszła gładko.

— Czyś na abadżijstwo przysięgł?..

— Igły się chwyciłem, inaczej bowiem byłbym z głodu zdechł.

— Nie zdechniesz w handlu... bądź mi jeno wierny.

— Wierności mojej pewna bądź, babo.

Baba Mokra podała mu warunki, które on przyjął i nie wspominała o pismach, ani o niczem, co z jej widokami patryotycznymi związek miało, chcąc go pierwiej bliżej poznać. Wspomniała mu o tem jeno, że się spodziewa syna:

— Z Belgradu...

— Z Belgradu? — zapytał ze zdziwieniem. — Cóż on tam robi?

— Uczy się w szkole wojskowej.

— Ażeby Turków tłuc.

— Psss... cicho... Ty o tem nie gadaj. Ja się o niego niepokoję: chłopiec gorący, lękam się, ażeby kałabałyku jakiego nie zrobił. Wiem bowiem, — dodała: — straciłam syna jednego.

Nikoła, zamiast odpowiedzi, spojrział na nią i wejrzaniem wypowiedział jej spółczucie głębokie a szczerre, jakiego względem niej doznawał.

Od dnia następnego zaczął być czynnym, jako terminator handlowy. Baba dała mu pomieszkanie, stół i wynagrodzenie miesięczne, — szczupłe ale otwierające perspektywę przyszłości świetnej. Wstąpił na drogę, którą ludzie rozgarnięci, jakim on był właśnie, dochodzą do bogactw, znaczenia i rozumu pod warunkiem, jeżeli sobie dystrakcyi nie sprawiają. Warunku tego nie dopełniał. Zrazu dystra-



keyę od siebie oddalił i przez tydzień cały do czytelnicy nie zajął. W podrzucaniu pism wyręczał się Stojanem. Stało się to mu jednak nieznośnem. Do baby się zwrócił i przedstawił jej udręczenie swoje.

— Cóż tam czytelnicy! — odrzekła. — Czy to ci ona pariczki daje?

— Pariczki... nie, ale czytam... czytam...

— No? — zapytała.

— I uczę się. Dowiaduję się, co ludzie myślą.

— Dowiedziałeś się o czym?

— Dowiedziałem się, babo, dlaczego syn twój zginął i dlaczego krew jego nie poszła na marne.

Baba Mokra doznała przy słowach tych nagłego ściskania. Westchnęła z jękiem głuchym i odparła:

— Chodźże ty tam około południa w dni powszednie, a niedziele masz swobodne.

Nikoła chodził do czytelnicy, prostując sobie drogę w sposób taki, że jej nakładał trochę. Wybierał tę ulicę, przy której stał dom hadzi Christa. Coś go tam ciągnęło. Przed domem się chwileczkę zatrzymywał, oglądał się i szedł dalej. Z powrotem znów tamtędy przechodził.

Baba Mokra, wyglądając syna, chodziła do przystani i oczekiwała na statek parowy. Oczekiwania zawodziły ją, tak, że nadzieję już tracić poczęła. Może zamiar odmienił i nauk przerwać nie chce. Spodziewała się jednak listu i otrzymała go. List był od Dragana, który oznajmiał, że przyjedzie niebawem i zastrzegł się, ażeby nikt na niego w przystani nie czekał.

„Przyjadę bowiem nie ja“, — pisał.

— Co to znaczy: „nie ja“?—baba Mokra Stanka zapytała.

— Co znaczy? — odparł, zamyślając się. Czy nie znaczy to, że on na siebie weźmie skórę cudzą?

— Gotów głupstwo to zrobić, — zauważyła.

— Turczyn nie lubi Bulgarów, co się uczą w szkole wojskowej, — odrzekł Stanko.

Baba westchnęła, jakby ją niedobre opanowało przeczucie.

— Daj Boże, ażeby z tego nie wynikł jaki kałabałyk.

Do przystani chodzić zaprzestała, lecz gdy się zbliżała godzina, w której statek przybywał, brała ze sobą Nikołą i szła z nim nad brzeg, wybierając punkt z którego przystań widną była. Brała go w tym celu, ażeby mu Dragana wskazać na wypadek, gdyby Draganowi potrzebną się okazała pomoc do niesienia tłomoka. Wyczekiwanie takie po raz pierwszy przeszło na próżno. Pasażerowie, jak zwykle, ze statku pod okiem żandarmów wyszli, przeszli do zabudowania komory celnej dla rewizyi i po paszporty, — pomiędzy nimi Dragana nie było. Za drugim razem powtórzyło się to samo. Baba Mokra przypatrywała się pilnie, usiłując rozpoznać syna. Pasażerowie wychodzili powolnie, mijali uszeregowanych żandarmów, którzy ich przepuszczali i nagle żandarmi pogarnęli się ku jednemu z pasażerów, odzianemu w palto i mającemu na głowie kapelusz cylindrowy. Kapelusz mu z głowy spadł, pasażer w bok poskoczył, jeden z żandarmów za połą go ujął: lecz on w chwili tej z błyskawiczną prawie szybkością rewolwer z kieszeni wy-

chwycił, strzelił i pędem się ku miastu puścił. Żandarm, do którego strzelił, przysiadł; inni atoli za uciekającym się rzucili. Nastąpiła gonitwa, z okrzykami i strzelaniną połączona. Pasażer odwracał się i strzelał do tych, co go najbliżej dochodzili; żandarmi na strzały rewolwerowe z karabinów odpowiadać poczęli. Walka ta prędko i smutnie zakończyła się dla pasażera. Raniony padł, żandarmi leżącego kolbami bili wreszcie pochwycili go i powlekli.

Scena ta minuty jednej nie trwała.

Baba Mokra skamieniała. W piersi jej dech się zaparł. Wprawdzie pasażer w cylindrze Draganem się jej nie wydał, miał bowiem brodę i okulary, ale przecucie jej mówiło, że to on chyba.

Nikoła na widok zajścia tego poskoczył i pędem w dół się puścił, - sam sobie z celu, w jakim biegł, sprawy nie zdając. Gnało go mętne pragnienie ratowania pasażera. Na miejsce dobiegł, kiedy już ratować nie było kogo. Na statek wsiadali podróżni, udający się w dół Dunaju, do Brailly i Gałacu, a na brzegu stali ludzie gromadkami, rozmawiając pocichu. Jedna z gromadek, największa, sformowała się obok tego punktu, w którym ratujący się ucieczką padł. W punkcie tym na kurzu widzieć się dawały plamy krwi. Nikoła do gromadki tej podszedł i plamom się przypatrując, ucha nadstawił. Rozmowa snuła się około zapytania, ktoby sprawcą zajścia tego mógł być.

— Nie kto inny, — powiadał jeden, — jak jakiś komitadzi. Odpadła mu broda przyprawna.

— Broda? — odezwał się inny.

— Widziałem, jak się oderwała, gdy go po głowie kolbami bito...

— Cóż się z nią stało?

— Zaptije zabrali.

— Bre... bre, — ludzie się dziwili, głowami kręcąc.

— Strzelił razy sześć.

— Nie... pięć, — zareplikował z gromadki jeden.

Wywiązała się ztąd sprzeczka, której tamę położyły następujące jednego z gromadki słowa:

— Ręką jedną strzelał, a drugą do gęby sobie papiery jakieś pchał i połykał.

— Bre... bre... — ludzie na to.

Nikoła od gromadki tej podszedł do innej, od tej drugiej, znów do innej, nasłuchując, ażali się nie dowie o nazwisku sprawcy zdarzenia. Nazwiska się nie dowiedział. Doczekał się odejścia statku i do baby Mokry wrócił.

Baba z miejsca się nie ruszała.

— Cóż? — zapytała.

— Dowiedzieć się chciałem, kto to, — odpowiedział.

— No?

— Ludzie mówią; „komitadzi jakiś“.

— Mój Dragan, — rzekła z westchnieniem.

— Ach! nie chyba.

— Nie mów: nie; poznałam.

— No... to... — bąkać zaczął, toż jeżeli tak...

Ręką zlekka machnęła i rzekła:

— Nie wydrę go Turkom z rąk. Niech, westchnęła, — i on ginie.

— Tak marnie! — wykrzyknął Nikola.

— Nie marnie, — odparła. — Głupstwo zrobił, ale  
Pan Bóg głupstwa takie w rachubę bierze.

*To sam  
co u nas  
dzieje się  
codziennie*

### VIII.

Baba Mokra nie omyliła się. Ten, co na brzegu awanturę spłodził, był to jej syn najmłodszy (\*). Gdyby go była nie poznała, byłaby się dowiedziała, dostała bowiem zawiadomienie z konaku. Pasza ją do siebie wezwać kazał i, posadziwszy obok, z uśmiechem słodkim zapytał:

— Radaś nauce synów zagranicą?

— *Chizmet*, — odrzekła, jak poprzednio. Pasza głową pokiwał.

— Nie mówisz tego szczerze.

Mówię, paszo effendim, to, co tobie tłómaczy nie-szczęście, jakie oto po raz już wtóry na głowę moją spada. Gdybym tak nie mówiła, musiałabym ciebie prosić i tybys mi odpowiedział: *chizmet!*

— Kto wie — pasza na to.

— Gdybym tak do ciebie przemówiła: To chłopiec nieletni... dziecko prawie... oddaj mi je?

---

(\*) Zdarzenie autentyczne.

— Nie oddałbym, alebym ci pozwolił w apsie go odwiedzić i po macierzyńsku przedstawić mu, ażeby prawdę mówił.

— Czy on żyje?—zawołała.

— Żyje. Pójdź do niego. Tyś kobieta rozumna, będziesz wiedziała, co i jak masz z nim mówić, ażeby go na dobrą naprowadzić drogę. Od tego zależy kara, która go spotka.

— Czyż on nie ukarany?... Zdaje się, jak na chłopca nieletniego, dosyć tego, co oberwał.

— Chłopiec ten dwóch zaptich skaleczył, jednego zabił... Swawola taka nie uchodzi.

— Czy to carstwu zaptich braknie!...—wtrąciła.

— Braknie czy nie...—odparł pasza — to nie należy do rzeczy... Myśl raczej o uratowaniu głowy syna, którego pierwej leczyć nie pozwolę, aż odpowie na pytania, jakie mu aga zada... Rozumiesz, dżanem? — zapytał uprzejmie.

W dłonie klasnął i adjutantowi, który wnet się ukazał, dał rozkaz wpuszczenia baby Mokry do syna.

Dragan leżał w konaku na dole, w izbie, przylegającej do strażnicy, a służącej za więzienie tymczasowe. Złożono go, a raczej rzucono, na podłodze. Miał na sobie odzież potarganą i okrwawioną. Widocznem było, że go ktoś opatrzył naprędce i nieumytemu związał głowę i poobwiązywał ręce, nogi i pierś. Bandaży funkcyę pełniły chustki bawełniane kraciaste. Z pod nich chory wyglądał przerażająco. W twarzy potłuczonej i porozbijanej zaledwie rozpoznać się dawały rysy oblicza ludzkiego.

Baba Mokra, wszedłszy, na palcach się do leżącego na wznak syna zbliżyła i przy nim przysiadła. Chwilkę na niego patrzała, następnie pochyliła się i cicho przemówiła:

— Synku.

Dragan miał powieki zwarte. Od przemówienia matki na twarzy jego widzieć się dał ruch leciuchny, pokrewny temu, jaki sprawia dmuchnięcie wietrzyka na gładkiej wód przestrzeni. Baba Mokra przemówiła powtórnie:

— Synku.

— Majka...—odszeptał chory, roztwierając powieki.

W chwili tej słyszeć się na strażnicy dały kroki ludzi wchodzących. Baba Mokra nad chorym się nachyliła i szybko mu w słuch wsuwała następujące wyrazy:

— Idzie aga, rozpytywać się będzie: synku mój, nie powiadaj mu nic takiego, coby komitetowi zaszkodzić mogło... Słyszysz?

Dragan oczy otworzył i w oczach matczynych wejrzenie utopił. Wszedł aga. Za nim szedł kitabdzi i czubukdzi. Ten ostatni rzucił na podłogę kobierczyk; aga usiadł, fajkę sobie podać kazał i rozpoczął indagację od zwrócenia się do baby Mokry z przemówieniem następującem:

— Niechże momak twój prawdę mówi, to go *hekim-baszi* (lekarz) opatrzy... Inaczej... zdechnie... Powiedz mu to tak, ażeby zrozumiał.

— Synku... — przemówiła — słyszałeś słowa agi, słyszałeś moje... Niech ci one za wskazówkę służą...

Radź się sumienia i pomnij na Boga, co z wysokiego nieba patrzy na ciebie.

— Dobrze... — rzekł aga i indagację rozpoczął.

Sens warunku, pod jakim nastąpić miało opatrzenie chorego, na tem polegał, że dla Dragana nie było już ratunku możliwego. Pasza o tem wiedział. Chodziło mu jednak o wydobycie od skazanego na śmierć niechybną zeznań, potrzebnych mu do neutralizowania agitacji, co się drogami tajemnymi w kraju szerzyła i władzę niepokoiła. W celu tym pod postacią warunku ukazał matce nadzieję uratowania syna. Przypuszczał, że się ona nadziei tej uchwyci i adze w indagowaniu pomagać będzie. Wyrachowanie to, świadczące, że i muzułmanie posiadają znajomość psychicznej natury ludzkiej, byłoby go nie zawiodło, gdyby na miejscu baby Mokry znajdowała się kobieta inna. Któraż matka oparłaby się nadziei uratowania dziecka, chociażby nadzieja ta złudzeniem była? Baba Mokra, gdy pasza warunek jej postawiwszy, zapytał: „Rozumiesz?“ — zrozumiała i powiedziała sobie:

— Niech i ten zginie raczej, aniżeli by zdradzić miał.

Wyraz „zdrajca“ przeraził ją.

Aga zapytywał, na odpowiedź czekał; ona zapytania agi powtarzała i doskonale rolę pomocnicy w indagacji odgrywała. Dragan na zapytania jedne odpowiadał milczeniem, na inne słówkiem: „nie wiem“; zdarzały się jednak takie, na które odpowiedzi dawał. Do rodzaju tych ostatnich należały te, co się pobytu jego zagranicą tyczyły. Na zapytanie, jaką drogą



druki się do Bulgaryi dostawały, odpowiedział: „na Carogród.“ Kitabdzi odpowiedź tę zanotował. Dragan dał kilka podobnie błędnych skazówek, odpowiadając coraz to niewyraźniej i coraz ciszej, aż odpowiadać zaprzestał. Aga zapytał raz, pytanie powtórzył, pytanie to powtórzyła baba Mokra i krzyknęła:

— Draganiel

Chory odetchnął jeno.

Baba Mokra dłonie sobie do piersi przycisnęła.

— Teraz niech wejdzie *hekim-baszi* — odezwał się aga, cybuch czubukdzemu oddając i z siedzenia się dźwigając.

Lekarz znajdował się nieopodal — i wszedł po to jeno, ażeby stwierdzić śmierć.

— Ratuj go! — przemówiła kobieta.

— Umarłych, babo, nie wskrzeszam — odpowiedział.

— On ciepły — rzekła, dłoń do piersi synowskiej przykładając.

Lekarz nic nie odrzekł na to. Baba się do agi zwróciła:

— On mój... zabrać mi go, ago effendim, pozwolisz.

— Zabieraj! — rzekł aga na to, odchodząc.

Kobieta znalazła się wobec trupa sama. Nie chciała odstąpić go, ażeby po pomoc pójść, w obawie zmiany pozwolenia w zakaz, albo też samowolności jakiej ze strony komendanta strażnicy. Trup giaura nie był dla nich przedmiotem poszanowania. Długo się jednak nie namyślała. Chustkę z siebie zdjęła,

zwłoki syna osłoniła, nachyliła się, w ramiona ciało wzięła i poniosła. Jeden z zaptich uwagę jej uczynił:

— Ciężko ci, babo, będzie.

— Ach! — odrzekła. — Któż go na rękach wynosił?

Z trupem na rękach przeszła przez podwórzec konaku i byłaby z nim szła przez miasto całe, gdyby nie Nikola, co na nią w bramie czekał.

— Babo — odezwał się.

— A... — odparła, idąc dalej.

— Tyś stara, jam młody.

— To mój syn.

— Dla mnie on brat.

Na słowa te zatrzymała się. Nikola z jej rąk trupa wziął i poniosł przez miasto, trzymając go w objęciach oburącz. Głowa nieboszczyka opierała się mu o ramię, ręce i nogi zwisły. Oblicza widać nie było, okrywała je bowiem chustka tak, że się wydać mogło, jakoby Nikola niósł człowieka chorego. Z racyi tej pochód ten w mieście wrażenia nie sprawił. Nikola do domu zwłoki młodego chłopca przyniósł i w izbie gościnnej na sofie złożył. Wnet się do izby domownicy zbiegli; przybiegła i siostra; wszczął się lament.

— Cicho!... cicho! — upominała baba. — Dragana Pan do siebie powołał... Zginął za rzecz świętą... poszedł do Boga ze skargą... Z pod strzechy naszej to już drugi.

Gdy mówiła, czuć było w piersi jej jakby głuchy łkania odgłos. Tłumiła w sobie ból, co ją szarpał i objawiał się niekiedy w jękach oderwanych.

— Mój junak!—jęknęła.

— Synku!—z piersi się jej wydarło.

Odezwała się wreszcie:

— Pogrzeb mu sprawimy ludzki.

Pogrzebem się zajęła. Na półwyspie Bałkańskim po miastach są specjalistki, oddające się posłudze przy umarłych.

Wzywać ich nie potrzeba — same przychodzą. One nieboszczyków umywają, odziewają i oplakują. Zwyczaj ten jest zabytkiem czasów dawnych. Do niego się baba Mokra zastosowała i w godzinę później ciało Dragana, osłonięte prześcieradłem białym, leżało już na okrytym kobiercem katafalku, ze złożonymi na piersi dłońmi. W głowach i z boku gorzało świec woskowych kilka. Ksiądz modlitwę odczytał i zwłoki młodzieńca wodą święconą pokropił. Nastąpiło odwiedzenie nieboszczyka. Schodzili się sąsiedzi i sąsiadki, wzdychali, modlitwy odmawiali i ciche rozmowy toczyli. Nikoła, który z izby nie wychodził prawie, za cycerona we względzie przyczyny i rodzaju śmierci służył. Rozpytywano go — odpowiadał:

— Turcy go zabili dlatego, że wydać im nie chciał pism, które przy sobie miał.

— Cóż to za pisma były?

— Nie wiem.

— Do kogo?

— Do kogoś w Ruszczuku.

— Do konsula może angielskiego, francuskiego, rosyjskiego?

— Może... To pewna, że były ważne, zjadł je bowiem.

Przyszła z kolei hadzi Christica z córką. Nikola opowiadanie powyższe powtórzył im, ze szczególnym na stronę patryotyczną wypadku naciskiem.

— Dragan — słowa jego — zginął jak prawy junak. Zaptich było trzydziestu, on jeden. Pisma mu wydrzeć chcieli, nie dał. Każdy Bulgar tak sobie poczynać powinien.

Ilenka się nie odzywała; w nieboszczyka wpatrzona, słuchała słów Nikoły, któremu obecność jej dodawała animuszu tak dalece, że żałował niemal, że na katafalku sam nie leży. Pocieszało go to jeno, że się położy kiedyś.

— Teraz mi to tylko w głowie, ażeby rewolwer mieć.

Gdy słowa te wyrzekł, dziewczyna wejrzenie na niego zwróciła i chwilę na nim zatrzymała. W wejrzeniu tem—wydało się mu—świeciło uznanie. Uznanie to w pamięci i w sercu zakarbował.

Pogrzeb odbył się z wystawnością całą. Ciało wyprowadzono przy żalnym jęku płaczek i przy takimże jęku do grobu spuszczone. Przez mahalę przechodziło w trumnie otwartej, za którą na wieku niesiono wykwintne, w kwiaty i gałązki zielone przystrojone jądło. Tak zwyczaj każe. Jest to imitacya stypy, którą baba Mokra w ogrodzie zastawiła, z całym, na jaki ją stać było, przepychem. Gości zeszło się dużo. Pocieszano ją; ona pocieszającym odpowiadała:

— To drugi już odemnie idzie do Boga ze skargą na wrogów naszych. Niechże jeno skarga nie ustaje, kiedy się raz rozpoczęła... ażebyśmy sprawę wygrali.

Niewiadomo, czy wszyscy słowa te rozumieli, lubo wszyscy potakiwali. Byli jednak tacy, co rozumieli. Rozumiał Nikoła, Stojan i Stanko, rozumiał hadzi Christo. Ten ostatni z objekcją nawet wystąpił.

— Babo Mokro — rzekł — ciebie spotkało nieszczęście wielkie, nad którym wszyscy bolejemy; chyba jednak życzyć nie należy, ażeby nieszczęście podobne spotykało matki bułgarskie inne.

— Ach! nie... tego nie życzę żadnej — odparła z westchnieniem. — Ale i tego życzyć nie należy, ażeby nasza młodź bułgarska kisa, jak to dawniej bywało i nie była gotową za swój memlekiet głowy nadstawić. Synowie moi początek dali... próbowali... Rzecz taka nie udaje się odrazu, a próby rozumu uczą. Dziecko wówczas dopiero z ogniem się obchodzić umie, jak się sparzy. To wszystkim wiadomo. Obchodzenia się z ogniem nauczyć się potrzeba.

Gościom posługując, prawila im baba takie jak wyżej rzeczy i potakiwano jej powszechnie, pomimo, że większość, złożona z ludzi poważnych, z kupców, majstrów, członków mizlisu i czorbadżijów w duszy racyi jej nie przyznawała. Do czego to z Turczyinem zadzierać, kiedy po stronie jego siła? Mimo to, słowa jej ilustrowane dwoma nieszczęściami, nie były ziarnem na opokę rzucanem. Śmierci dwóch młodych, życia pełnych, ludzi wzbudzały nietylko współczucie,

ale i myślenie. To ostatnie zasnuwało się około powodów, które śmierci te sprowadziły i urabiały pojęcie krzywdy, któraby nie istnieć mogła. W sposób ten umysły najlojalniejsze mimowolnie i mimowiednie wchodziły, w intencji bodaj, na drogę buntu przeciw władzy, uznawanej za prawowitą. Powstawało ztąd pewne w pojęciach zamieszanie, świadczące samo przez się, że się coś w mechanizmie tureckim psuło. Ludzie stateczni jednak miarkowali się, esnafów swoich pilnowali i Turkom w ład szli. Z młodzieżą się inaczej działo. Awantura w przystani wywarła wrażenie silne i głębokie, które stypa pogłębiła niejako.

— Babo — przemówił Nikoła do pryncypałki swojej — chciałbym i ja robić coś, chociażbym skończyć miał, jak skończył syn twój jeden i syn twój drugi.

— Cóż poczniesz... sam jeden? — odparła.

— Ależ bo ja nie jeden. W mieście ochotników do roboty takiej znajduje się więcej.

— Naprzykład? — zapytała.

— Chociażby Stojan pierwszy... a okrom niego..

— Hm? — przerwała. — Ze Stojanem pogadaj... rozważcie, rozpatrzcie się, a ja wam powiem, gdy pora nadejdzie. Mam syna jeszcze jednego i muszę się z nim poradzić pierwej. Doktor filozofii: radabym wiedzieć, na co się to przyda.

Wkrótce po rozmowie tej zaszedł do baby Stojan i zaczepił ją w ten sam mniej więcej sposób, co Nikoła. Baba odpowiedziała mu tak samo, zalecając ostrożność.

— Turczyn — mówiła — ma takich, co podpa-  
trują i podsłuchują, i to z ich przyczyny Dragan mój  
zginął.

Spodziewała się syna trzeciego i z racyi tej nie-  
pokoila się. Co pasza powie? Czy się do niego nie  
pryczepi? Chciała się zapewnić we względzie tym  
i do paszy się udała. Pasza przyjął ją, jak zwykle,  
łaskawie.

— *Ne war, ne jok?*

Odpowiedziawszy na zapytanie to frazesem kon-  
wencyonalnym, do rzeczy przystąpiła.

— Kto się, paszo effendim — zaczęła — na go-  
rącem sparzy, ten na zimne dmucha. Dwóch synów  
mi zaptije twoi zabili: czy zabiją i trzeciego?

— Czy wiesz, dlaczego zabili jednego?

— Wiem, paszo effendim.

— Czy wiesz, dlaczego zabili drugiego?

— Nie wiem.

— Należał do komitetu, co z zagranicy krajem  
chce rządzić, zamiast padyszacha.

— Ach! — wykrzyknęła w zdziwieniu i obu-  
rzeniu.

— Nie wiedziałaś o tem?

— Po raz pierwszy coś podobnego słyszę.

— Otóż widzisz, jam wiedział. Wiedziałem, co  
się za granicą knuje i po co, kiedy i jak syn twój  
przyjeżdża. Chłopiec twój sam sobie winien. Nabroił...

— Prawda, paszo effendim — odparła — i dlate-  
gom do ciebie z zapytaniem przyszła. Wiesz o wszyst-  
kiem, powiedzże mi, gdy syn mój trzeci przyjedzie,  
czy esnaf spokojnie prowadzić może?... Jam już sta-

ra, mnie ciężko... Trzech synów miałam, pozostał mi jeden jedyny.

Mówiąc to, łzy obcierała.

— *Bakałym* (zobaczmy) — odrzekł pasza.

W dłonie klasnął i adjutantowi papiery jakieś przynieść kazał. Papiery te przedstawiały się pod postacią rulonu, sznureczkiem związanego. Adjutant sznureczek rozwiązał, pasza papiery przejrzał, i półarkusz jeden wyjąwszy, czytał powoli:

— Piotr Zanow... Heidelberg... uczy się... doktor filozofii... Uhm — dodał — nie okazuje się na nim nic. Doktor filozofii?... uhm?

— Co to jest? — zapytała baba.

— To znaczy, że syn twój jest mędrce. Uhm?.. niech sobie mędrce będzie i do niczego, co do niego nie należy, nie miesza się.

— To go zaptije nie zabiją? — zapytała naiwnie.

— Bądź spokojna.

— I do apsu go nie wsadzą?

— Nie.

— Słowo twoje, paszo *effendim*, znaczy u mnie tyle, co tysiąc *medzidii* w złocie.

— Masz słowo moje — odrzekł pasza.

Ze słowem tem baba do domu wróciła i napisać kazała do Piotra, ażeby przyjeżdżał wprost i otwarcie. Ze swojej strony pasza dał nakaz obrewidowania go ściśle. W tydzień później ze statku wysiadł młody, lat dwadzieścia kilka liczyć mogący człowiek, na którego u przystani czekali baba Mokra i Nikoła, i który powitał ich nie pierwej, aż w komorze celnej przepatrzone tłómoki i kieszenie jego. Papiery i książ-



ki przeglądał urzędnik, specjalnie w celu tym z kónaku wydelegowany i powierzchownością swoją Greka zdradzający.

Baba Mokra z niepokojem na syna przed diumiukiem czekała. Doczekała się go wreszcie. Hamąom pakunki jego powierzyła, jego zaś samego szybko pod górę prowadziła, ażeby w domu bez świadków w objęcia go swoje wziąć, uściskać, ucałować i łzami oblać.

— Synku mój! synku mój!—powtarzała.—Miałam was trzech. Dziecko moje.

Pierwsze pobytu młodego człowieka pod strzechą rodzinną chwile, upłynęły na wylewie wzajemnych uczuć. Od lat kilku niewidziany, był przedmiotem oględzin ze strony matki, siostry i domowników płci obojga. Zauważono powszechnie, że zmężniał, urósł i wypiękniał. W istocie był to młody człowiek szykowny, nie uderzający niczem z pierwszego rzutu oka, zyskujący atoli przy bliższem się w nim rozpatrzeniu. Brunet mocny, rysami oblicza zdradzał wolę silną a rozważną. Po zakończeniu powitań nastąpiła rozmowa, złożona z krótkich zapytań i krótkich odpowiedzi, a która się regulować poczęła przy jedzeniu dopiero. Nie rychlej, aż w dniu następnym, kiedy Piotr należycie po podróży wypoczął, matka się do niego odezwała:

— Cóż ty myślisz, synku?

— O czem, majko?—zapytał.

— O braciach twoich?

— Wypadło im trudne bardzo zadanie początkowania. Inaczej jednak niesposób. Zadania żadne bez prób się nie rozwiązują.

Wyrazy te baba Mokra niekoniecznie zrozumiała. Odczuła je wszakże. Zrozumiała, że Piotr nie obarcza braci naganą za niepowodzenie. Dodała więc:

— Tyś mi pozostał jeden.

— Cóż z tego, majko! Czy to jeden nie ma takich samych, co trzej obowiązków?

Synu mój! — odparła z akcentem rozrzewnienia—niech ci Bóg błogosławi i pomaga. Majka będzie ci z sił całych pomagała.

Ogólnikowa pomiędzy matką a synem rozmowa była prologiem, który się niebawem w następstwa rozwinał.

Piotr zajął się uporządkowaniem interesów handlowych: zaprowadzał księgi, sporządzał inwentarze, robił rachunki. Mimo, że doktor filozofii, postępował we względzie tym inaczej, aniżeli brat jego najstarszy, który szkołę handlową skończył. Obok tego do czytelnicy, którą kilku dziełami poważnemi zbogacił, chodził i z młodzieżą miejscową znajomości zabierał. We względzie tym ostatnim skazówki dała mu matka.

— Stanko, Nikoła i Stojan, na tych liczyć można—rzekła.

Stanko się wycofał, pozostawało trzech do narad i czynności, redukujących się wciąż jeszcze do pism, w których przekradaniu ta zaszła zmiana, że nie przechodziły już przez ręce Stanka. Nikoła je odbierał bezpośrednio i wywiązywał się z zadania swego zręcznie. Nie wystarczało mu to jednak. Raz

w obecności baby Mokry i Piotra, otwierając pakę, w której kryły się druki, odezwał się:

— Kiedyż się tego doczekamy, że zamiast pism będę przeprowadzał wojowników? Grecy do Troi wojowników w koniu wprowadzili.

— Jak to w koniu? — zapytała baba Mokra.

Nikoła opowiedział jej fakt ów wedle *Iliady*.

— To trudno—baba na to.—Konia takiego zbudować nie potrafimy. Łatwiejby już było do Ruszczuku wojowników wprowadzić przez studnię naszą, gdyby jeno był sposób dostania się do niej z dołu.

— Przez jaką studnię? — zapytał Piotr.

— Przez tę, co w ogrodzie.

— O? — zadziwił się.

W kilku słowach baba Mokra opowiedziała, pod zastrzeżeniem tajemnicy, o galeryi podziemnej i o tem, że się w niej dawniejszemi czasy przechowywały z mahały całej bułki z dziećmi i momice.

— Byłaś tam, Majko, kiedy?—podchwycił Piotr.

— Nigdy w życiu.

— Toż to sprawdzić potrzeba. Skrytki takie zawsze przydać się mogą. Chodź, Nikoła.

Nastąpiła niezwłocznie rewizya studni odkrycie za pierwszym razem otworu jeno przy pomocy latarni, spuszczonej w głąb na sznurku. Pozostawało jeszcze obejrzenie galeryi, do czego potrzeba było wniść do niej.

— Ja! — zawołał Nikoła.

Poczekaj — odrzekł Piotr. — Potrzeba się przekonać pierwej, czy łańcuch i winda dosyć są mocne, ażeby udźwignęły ciężar ciała twego.

— Jam chyba niebardzo ciężki.

— Cięższyś jednak od wiadra z wodą.

Przystąpił do próbowania wytrzymałości łańcuchów i windy, wkładając do wiadra wagi w ilości coraz to większej, i rezultat wypadł ten, iżby można śmiało dwóch Nikołów spuszczać.

— No, teraz we wiadro siadam.

— Siądziesz, ale na to, ażeby się dowiedzieć najprzód, czy do galeryi wchodzić można — zareplikował Piotr.

— Któż broni?

— Powietrze. Jeżeli tam jest powietrze do oddychania, wchodzić można, jeżeli niema, wszedłbyś, alebyś nie wyszedł.

— Toć to niby piwnica, a w piwnicy każdej oddycha się.

Piotr dał mu we względzie składu powietrza objaśnienie i kazał pójść do domu po strzelbę, po tyczkę długą i po latarnię drugą. Gdy przedmioty te przyniesione zostały, spuścił go do studni ze strzelbą i w głąb galeryi strzelać kazał. Po strzelaniu kilkakrotnem podał Nikole latarnię, na jednym końcu tyczki uwiązaną, i polecił mu poprzedzać się na nią zdaleka dopóty, dopóki by nie zgasła, niosąc latarnię drugą przy sobie i wracać natychmiast, gdy latarnia na tyczce goreć przestanie. Nikoła ściśle się do informacyi Piotra stosował. Z wiadra wyszedł i w otworze znikł. Niedługo atoli widać go nie było. Znikł, wnet jednak powrócił i z takim do wiadra wskoczył pośpiechem, że o mało do studni nie wpadł.

— Ciągnij! — na Piotra krzyknął.

Piotr go wywindował, bladego jeszcze.

— No, cóż to? — zapytał.

— Uciekłem.

— Czemu?

— Bo tam... tam... oczy jakieś — bąkał.

— Oczy, czyje?

— Nie wiem czyje...

— Cóżś z tyczką i latarnią zrobił?

— Cisnąłem.

— Czy latarnia zgasła?

— Nie.

— Przypuszczać można — zaczął Piotr — że tam są węże, jaszczurki, nietoperze, lisy może.

— A oczy? — zapytał Nikola.

— Coś się chyba tobie wydać musiało. Zobaczymy. Spuść no ty mnie, pilnie jeno uważaj na winę, trzymaj koło mocno i popuszczaj potrochu.

Z kolei Piotr do galeryi się dostał. Wszedł i nie wracał długo, aż się Nikola niepokoić już począł. Pokazał się nareszcie i, wyciągnięty, opowiedział co następuje:

— Pyszne odkrycie. Mogłoby się tam zmieścić z ludzi pięciuset, nim zaś na ludzi kolej przyjdzie, to się tam przechowywać da wszystko, co Turkom zawadza a nam dogadza.

— Rewolwery — wtrącił Nikola, dzielający ogólne o wielkiej tego oręża użyteczności mniemanie.

— Rewolwery i wszystko.

— Widziałeś oczy? — zapytał.

— Widziałem na murze plamy szkliste, w których się łamało światło latarni i plamy te musiały ci

się oczami wydać. Widziałem nietoperze, co po gzem-  
sach siedzą i lisy, co na widok światła uciekły. Wi-  
działem także żaby. Kiedy cię plamy przestraszyły,  
to jakżebyś się przeraził nietoperzy, lisów i żab!  
A chcesz się z Turczyńcem mierzyć!

Nikole wstyd było. Bąkać począł:

— Turczyń co innego. Tam zaś podziemie  
grób niby; szum jakiś.

— Szum ten sam, co w studni, ruch powietrza.  
Galeryi tej zaleta wielka na tem polega, że jest usta-  
wicznie przewietrzana. Dotarłem do drugiego końca:  
otwór jest wpół zasypany i doskonale skałą zasłonięty.

Rzekłszy to, podszedł do ciągnącego się wzdłuż  
urwiska muru ogrodu i rozglądać się począł w miej-  
scowości. Przypatrywał się, miarkował i rzekł:

— Będzie tu można urządzić windę na blokach  
i zapomocą windy tej wciągać wszelaką kontraban-  
dę, tak, że ci, co ją rzeką podwiozą i na brzeg wyrzu-  
cą, wiedzieć nie będą, gdzie się podziewa.

— A Turcy? — odezwał się Nikoła.

— Na brzeg tędy zejścia niema, więc patrole  
tu nie dochodzą i nawet dochodzić nie mogą. Świetne  
odkrycie! Niech jednak o tem nikt, nikt nie wie,  
z wyjątkiem nas dwóch i majki trzeciej.

— O! — odezwał się Nikoła tonem zapewnienia.

— Turcy na dom nasz uwagę zwracać mogą, ale  
nie powinni ani się domyślać, że posiadamy schronie-  
nie takie.

Znów się rozpatrywał i miarkował, wziął ołów-  
wek, obliczał, następnie na papierze narysował windę  
przenośną i, rozmiary pobrawszy, polecił częściowe

wykonanie owej ślusarzom, kowalom i stolarzom. Robotę rozdał w sposób ten dlatego, ażeby się rzemieślnicy nie domyślili, jakie i w jakim celu sporządzają narzędzie. Świadczyło to, że Piotr korzystał z doświadczenia braci i unikał pozorów, mogących podejrzenie sprowadzić.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.